









J. K. Ehrenberg.  
Sebastjan Fabjan Monowicz.

(Bibl. Warsz. 1889, t. IV).





7034

# SEBASTYAN FABIAN KLONOWICZ.

JEGO STANOWISKO W LITERATURZE POLSKIEJ XVI WIEKU.

Studyum historyczno-literackie

PRZEZ

F. K. Ehrenberga.

Klonowiczowi nie wyznaczyła jeszcze historia polskiej literatury odpowiedniego jego zasługom i znaczeniu miejsca; przez „Roxolanie“ pierwszy co do czasu i wartości poeta opisowy w wieku XVI; przez „Worek“ i „Victorię“, jeżeli nie najwybitniejszy, to przynajmniej za takiego uważany, ze wszystkich owiej epoki satyryków: — nie znalazł krytyka, któryby go sprawiedliwie ocenił i stanowisko jego dokładnie określil; a powodem tego faktu jest prawdopodobnie to, że wiadomości, które o nim mieliśmy nader były szczupłe i niewystarczające do odtworzenia duchowego portretu tego spokojnego i przedmiotowego malarza Rusi Czerwonej, rubasznego i prostackiego współuczestnika wyprawy po Wiśle, oschłego i nudnego kaznodziei, piorunującego kulawym wierszem na różne rodzaje złodziejstwa, twórcy wreszcie najdziwniejszego i najmonstrualniejszego pedagogicznego traktatu, który aż do dziś dnia za „sturamienną jest uważany „satyrę“.

Brak nam świadectw współczesnych: jeden tylko Wielicki w swoim „Dyaryuszu“ wspomina o nim, jako o autorze (domniemanym z początku, a później już niewątpliwym) owiej sławnej „Akcyi pierwszej“; wspomina pobieżnie bardzo i z łatwo zrozumianą niechęcią. Pierwszym, który pewniejsze o Klonowiczu pokazał nam wiadomości był Starowolski; on to

w „Hecatontas“<sup>1)</sup> krótki, jedną zaledwie stronicę obejmujący zyciorys podaje. Zyciorys ten niedokładny, błędów rozlicznych pełen, był jednak mimo to przez długi czas (bo aż do 1878) prawie jedynym źródłem dla późniejszych biografów. Dwóch z nich na szczególniejszą zasługuje uwagę: W. A. M aciejowski, który w I. tomie Piśmiennictwa obszerny rozdział Klonowiczowi poświęca i szczególnie go sobie upodobawszy, usiłuje dowieść (nie tylko tam, ale i w wielu innych po czasopismach<sup>2)</sup> rozproszonych artykułach) rzeczy w istocie do dowiedzenia bardzo trudnej i niemożliwej: wyższości Klonowicza nad Janem Kochanowskim<sup>3)</sup>; i drugi J. A. M i e r z y ŋ s k i, który pierwszy spróbował, na podstawie pism poety, nowe zebrać fakta biograficzne, podać jego charakterystykę, jako człowieka i pisarza, rozebrać wreszcie wpływy klasycznych autorów, jakich ślady w Klonowiczu pismach dojrzyć się dadzą. Broszurka pana Mierzyńskiego<sup>4)</sup> pozostaje aż do téj chwili ostatniem słowem krytyki o Klonowiczu. Dość powiedzieć jednak, że nie uwzględnia w niej autor polskich poematów, a więc ani „Żalów“, ani „Flisa“ ani „Worka Judaszowego“, że metoda krytyczna dzisiejszych wymagań zadowolnić nie może, że wreszcie sama jęj objętość (str. 88 in 16-o) świadczy o niedostatecznym rozwinięciu i umotywowaniu rzuconych tam myśli, — ażeby dać poznać, jak wiele tam rzeczy poprawić, uzupełnić, a nawet z gruntu przerobić potrzeba.

Dzisiaj, dzięki odkryciom ks. Gackiego<sup>5)</sup>, Przyborowskiego<sup>6)</sup> i Detmerskiego<sup>7)</sup>, jesteśmy w posiadaniu większego zasobu biograficznych wiadomości, niż go miał pan Mierzyński: to nas ośmiela do podjęcia niniejszój pracy, opartój w niemalj części na drobnych rozprawkach, U h m y (Żywot i pisma S. F. Kl., Lwów 1884), K r a s z e w s k i e g o (Klon. w Nowych Studiach lit. 1843), M e c h e r z y ŋ s k i e g o (O satyrycznych poezjach S. F. Kl. Rozprawy Ak. Um. 1861), G a r l i c k i e g o (Uwagi nad Vict. Deorum. Brzeżany 1884), K a n t e c k i e g o (Roxolonia. Przew. N. Lit. 1875), P a w l i k o w s k i e g o (O wyrazach zł. u Kl. Rozprawy Ak. Um. 1886), wreszcie na artykule S o b i e s z c z a ŋ s k i e g o w Encyklopedyi Orgelbranda. (sub. Klonowicz).

<sup>1)</sup> Str. 125 Wydanie Frankfurckie z 1625.

<sup>2)</sup> „Tyg. ill.“ Nr. 11.—„Przegląd warsz.“ 1841, „Orędownik“ 1843 Nr. 46 i 47.

<sup>3)</sup> Ostrą choć sprawiedliwą dał mu odprawę Wojciech Potocki w „Pielgrzymie“ 1842 I.

<sup>4)</sup> De vita, moribus, scriptisque latinis S. F. Acerni. Berol. 1857.

<sup>5)</sup> Pam. rel. moralny Ser. II, t. VIII, str. 163—182.

<sup>6)</sup> Ateneum 1878, I.

<sup>7)</sup> Ateneum 1882 str. 473—518.



## I.

W dawniejszem województwie kaliskiem, — a dziś w W. Ks. Poznańskim, pod pruskim panowaniem, w powiecie odolanowskim, leżą Sulmierzyce. W historii występują one po raz pierwszy w 1457; wtedy to bowiem uzyskują od Kazimierza Jagiellończyka prawo miejskie. Tam to, według dotychczasowych mniemań, urodzić się miał Sebastyan Fabian Klonowicz; w ostatnich czasach stwierdził to nawet, jak się zdawało, dokument w aktach lubelskich przez p. Detmerskiego odnaleziony i obalił przypuszczenia inne <sup>1)</sup>. Kiedy jednak bliżej w dokumencie tym się rozpatrzymy, przekonamy się, że niema w nim wzmianki ani o czasie, ani o miejscu urodzenia poety; stwierdza tylko tam sulmierzycki urząd gminny, że Sebastyan jest prawowitym synem Jana Klona i Anny Pietrzałkówny, że ten Jan Klon posiadał tam młyn i folwark nad rzeczką Orlą, zwany Długoleką, którą to posiadłość wziął, jak się należy dorozumiewać, w posagu za żoną. Widać to ztąd, że Sebastyan po śmierci ojca majątku nie objął: odziedziczyła go matka, która wyszła powtórnie za mąż za Andrzeja Kaliszka. Należy przytém zwrócić uwagę na okoliczność znaczącą, że Jana nie nazywają w dokumencie obywatelem sulmierzyckim, — podczas, kiedy rodzina Pietrzałków z pewnością to obywatelstwo posiadała. Michał Pietrzałek, przedsiębiorca, wyraźnie nazwany jest „civis“. Wypływałoby więc ztąd, że Klonowicza ojciec prawdopodobnie nie ze Sulmierzyc pochodził, i że osiedlił się tam dopiero po otrzymaniu posagu żony. Czy tam urodził mu się syn jedynak, dokument tego stanowczo nie stwierdza. Mogłoby być, że Jan nie odrazu wszedł w posiadanie Długoleki: mogłoby być, że dopiero po śmierci rodziców żony: a są powody do robienia podobnych przypuszczeń.

W których to wszystko działo się latach — niewiadomo. Tak zwana „Genealogia Acerni“ <sup>2)</sup>, na którą się powyżej powoływałem, ozdobnym napisana stylem, nie podaje ani jednej daty i nie jest zresztą sporządzona na podstawie aktów i metryk, ale według ustnego zeznania zaprzysiężonych świadków. — Jest tylko podanie Starowolskiego, jakoby Klonowicz umierając miał lat 57; ponieważ atoli mylna jest samaż téj śmierci data (1608), żadnych pewnych nie ma podstaw, żeby podaniu temu wierzyć. Przecież jest pewne prawdopodobieństwo, że takby być mogło, bo nic temu wprost na przeszkodzie nie stoi; owszem, rok 1545, któryby

1) Jak na przykład Maciejowskiego, który podawał wioskę Sulmierz między Radomskiem a Wieluniem nad Widawą

2) Detmerski w Dodatkach.

wskutek tego rachunku wypadł, jest najdogodniejszą datą ze wszystkich, którebyśmy hypotetycznie jako rok urodzenia Klonowicza przyjąć mogli <sup>1)</sup>.

Że Klonowicz pierwsze nauki w Sulmierzycach pobierał, wyraźnie o tém genealogiczny dokument zawiadamia. Musiało to być zapewne w miejscowej szkole parochjalnej: możemy twierdzić napewno, że zakonu nauczycielskiego nie było tam wcale: a że siedzibą biskupią Sulmierzyce także nie były, więc i o szkole katedralnej mowy być nie może. Szkoły takie parochialne miały charakter więcej świecki: podlegały one kontroli i nadzorowi miejscowego proboszcza, ale nauczyciel (w wieku XIV i XV prawie zawsze, — w tym czasie także jeszcze często Niemiec) był świecki. Łukaszewicz <sup>2)</sup> powiada, że „uczono w nich pacierza, czytać, pisać, rachunków aż do reguły spółki, katechizmu, śpiewu kościelnego, służenia do mszy i t. p. tudzież łaciny z Katona „Disticha moralia“ (tłómaczonych później przez Klonowicza na język polski) <sup>3)</sup>; gramatyki Donata etc.—Gdzieindziej <sup>4)</sup> znajduje się przechodzące w pewność prawie przypuszczenie, że uczono tam także polskiego i niemieckiego języka. Wykształcenie to, aczkolwiek bardzo elementarne, nietylko wystarczało tym, którzy nauk dalej kontynuować nie zamierzali, — ale nadto dawało zupełne przygotowanie do słuchania akademickich kursów w Krakowie.

Że téj Akademii uczniem Klonowicz był, zgodnie oba najdawniejsze świadectwa <sup>5)</sup> podają: Starowolski mówi nawet o naukowych stopniach, które poeta tutaj otrzymał. Niema żadnych powodów świadectw tych tu podawać w wątpliwość, kiedy wszystko zresztą za tém przemawia: nadwyzczaj obszerne i gruntowne wykształcenie Klonowicza świadczy o studiach wyższych, a ta jakaś rodzimość, brak polerownej oglady zachodu, tych manier dystygowanych i wysokich pretensyj, jakie się ztamtąd zazwyczaj przywoziło, brak jakichkolwiek reminiscencyi lub wzmianek w Klonowicza pismach o krajach obcych i zagranicznym świecie, — przemawia za tém, że te studia odbywały się w kraju. Dosyć zresztą widzieć ten zapal, z jakim bierze do serca sprawę Akademii w „Akcyi pierwszej“, — to przejęcie się, z jakim jęj broni, — aby nie mieć żadnej wątpliwości, że zeznania Wielewickiego

1) Tradycya utrzymująca, że Klonowicz urodził się w 1551 r. opierała się na tém podaniu Starowolskiego i na mylném przyjęciu roku 1608 jako daty śmierci.

2) W tomie I-ym, str. 69: „Historji Szkół“.

3) Pamiętnik sandomierski. T. II.

4) Na str. 24—25 tego tomu II. Pam. sandom.

5) Starowolskiego i Wielewickiego.

i Starowolskiego są wiarogodne. Zachodzi tylko pytanie, na który rok te uniwersyteckie studia przypadać mogą?—W „Worku Judaszowym“<sup>1)</sup>, skończonym w maju 1600 roku wspomina Klonowicz, że był „przed czterdziestą lat w Węgrzech, w miasteczku Peżyńku“<sup>2)</sup>. Co tam robił, mając lat 15, dokładnie nie wiadomo: że nie w celach naukowych tam się udał, to jasne; być bardzo może, że była to jakaś podróż (z ojcem albo z kim innym) w interesie handlowym, po zboże;—(wzmiankowałem, że rodzice poety mieli młyn). Bądź co bądź, podróż ta dowodzi, że 1560 r. Klonowicz uczniem Akademii jeszcze nie był. Najwcześniej mogło się to stać w 1561<sup>3)</sup>.

Przejrzałem metryki uczniów z tego czasu<sup>4)</sup>. Szukanie w nich o tyle było utrudnione, że dokładnie miejsce urodzenia poety nie było znane, a tylko szlachcie wypisywano nazwiska: plebejuszków zapisywano tylko według pochodzenia lokalnego. Przypuszczenie, że Sulmierzyka nie znajdę, sprawdziło się: z dwóch zaś Sebastyanów, synów Jana w tym czasie zapisanych, za pochodzącym z Biecza (pod r. 1564) nie przemawia nic; natomiast Sebastianus Joannis de Clodava, wpisany w zimowym półroczu 1560/1<sup>4)</sup> zdaje się być według wszelkiego prawdopodobieństwa tym, któregośmy szukali.

Kłodawa leży wprawdzie dość daleko, bo o mil blisko piętnaście od Sulmierzyce; jest jednak połączona z niemi traktem warszawsko-kaliskim; kto naprzykład ztamtąd na Szląsk chciał podróżować, przez Sulmierzyce jechać musiał. A uderzającym faktem jest to, że w tym właśnie czasie, w czwartym dziesiątku szesnastego wieku wzniesiono w Kłodawie na pamiątkę morowego powietrza kościół do dziś jeszcze istniejący pod wezwaniem patronów miasta śś. Sebastyana i Fabiana, których imię Klonowicz właśnie na chrzcie odebrał, jak gdyby na pamiątkę tak ważnego faktu w dziejach miasta, jakim było założenie i otwarcie kościoła, albo jak gdyby na votum tym świętym uczynione za wyratowanie Klonów od morowej zarazy. A może też właśnie, wtedy oni opuszczali Kłodawę i ojciec, chcąc zachować pamiątkę rodzinnego miasta, dał synowi jego patronów imiona. W tym właśnie czasie, przed r. 1561 (dokładnie niewiadomo kiedy, bo Liber Promotionum z tego czasu uległa zniszczeniu), uzyskał w Akademii stopień magistra Marcin Nerwicius Kłodawita. Nasuwa to nam

1) Ed. Turowskiego, str. 91.

2) Myli się pan Mierzyński utrzymując, że dopiero w 21 roku życia uczniowie zapisywali się do Akademii; przyjmowano ich po skończonym 13-ym.

3) Metr. stud. 3 pars; rękop. Bibl. Jag. l. 260.

4) Rękopism karta 28.

nowe domysły, potrosze nawet na lubelskich dokumentach oparte: wiadomo z nich, że Sebastyan wychowywał się pod okiem rodziców aż do śmierci ojca; daje to do zrozumienia, że po jego śmierci przeszedł pod opiekę inną, co, jak tłómaczy owa Genealogia, wywołane było potrzebą studyów wyższych, koniecznych wskutek objawiającego się w młodzieńcu zamiłowania do nauk i zdolności poetycznych<sup>1)</sup>. Tym opiekunem mógł być właśnie ów Marcin, Klonowiczowego ojca rodak a może i krewny: jemu to prawdopodobnie chory już ojciec dorastającego syna powierzył. O pokrewieństwie świadczyć mógłby fakt, że w 1657 r. między nowo promowanymi bakałarzami wymieniony jest Sebastyanus Nervicius Kłodowita. Że ten Nervicius jest identyczny z owym Sebastyanem, synem Jana, wpisanym w r. 1561 dowodzi to, iż żaden inny Sebastyan z Kłodawy w tym przeciągu czasu do Akademii wpisany nie został, a niczém inném jak tylko pokrewieństwem nie da się wytłómaczyć (i tak przez pomyłkę zapewne położone) nazwisko Nervicius. — Wypadałoby teraz tylko wytłómaczyć dla czego Klonowicz zawsze podpisywał się na pismach swoich „z Sulmierzyc“ po polsku „Sulmircensis“ lub „Sulmircenus“ po łacinie: może uśmiechało mu się podobieństwo z Owidyuszem, którego się w sobie dopatrywać lubił, kiedy sam taki napisał dystych:

Nasoni Sulmo patria est, Sulmircia nobis:

Sed nos poetaster, ille poeta fuit.

Może téż jaki inny powód: mówiliśmy już, że Genealogia owa nie jest sporządzona na podstawie aktów, tylko polega na ustnym zeznaniu członków rodziny matki poety, który nie miał się do kogo do Kłodawy udać: wołał tam, gdzie był pewien, że wystawia mu dokument chlubny; a zależało mu właśnie na tém, bo chodziło o wybór na urząd miejski w Lublinie. Rzecz prosta, że w Sulmierzycach nie mogli wydawać świadectwa o urodzeniu Klonowicza w Kłodawie: dlatego pominięto milczeniem tę kwestyę, a poeta naturalnie dokumentu tego się trzymając, podpisywał się odtąd zawsze Sulmierczykiem.

Jakich w Akademii wykładów Klonowicz słuchał, czego się uczył, łatwo odgadnąć z tego, co umiał i co się w pismach jego przebija. Są tacy (pan Mierzyński na przykład), którzy chcą widzieć go na wydziale prawniczym: rzecz bardzo wątpliwa i nieprawdopodobna, skoro jak widzieliśmy bakałaret „artium“

<sup>1)</sup> Czyżby owych zdolności dowodem miał być ów psalm LXXI „In te, domine, sperabo“ wydany w Krakowie przez Andrysowicza 1556 r. w przekładzie polskim, który Maciejowski widział i w Tyg. lit. z 1840 opisał. Miałby wtedy Klonowicz dopiero lat 11; wprawdzie zwrotka przez Maciejowskiego przytoczona bardzo licha; mimo to jednak rzecz się wydaje nieprawdopodobną.

otrzymał, że umiał i znał prawo, niczego nie dowodzi; nabywało się tej znajomości praktycznie, pracując w urzędzie miejskim i sprawując (jak w tym wypadku) żydowskie sądy. Owszem—trzeba przypuszczać filozoficzne studia. Ów Marcin Żyła, co się tak szumnie Nerviciuszem przezwął, wykładał filozofią i wymowę według Cycerona i do pracy w tym téż kierunku zachęcał pewnie według wychowawca, który chyba do studyów prawniczych zamilowania nie miał, a nie było już wtedy ojca, nie miał więc kto od literackiego zawodu odwozić, nie miał kto przekładać, że poezya chleba nie daje, że literaci często bez butów chodzą. Studyował więc Klonowicz literatury klasyczne; rozczytywał się we wzorach greckich, słuchał jak mu Herbert Georgiki Wergilego wykładał. Wojciech ze Szadka „Odysseją złotą“ komentował, Grzegorz Samborzcyk, sam wielbiciel mitologii, z dziwnemi historjami bohaterów i bogów według Owidyusza go zapoznawał— a w chwilach od wykładów wolnych lekturę swoją rozszerzał i pogłębiał. Juwenelisa poznał i trochę się nim przejął, Teokryta, Biona i Moscha polubił, nauczył się na pamięć, albo ich dzieła z sobą później o wiele w Lublinie miał i na naśladowanie nawet się porwał; tu już go pewnie dochodziły pierwsze przedziwne rymy Kochanowskiego, któremu naturalnie sławy zazdrościł i dorównać pragnął, chociaż pewnie zżymał się trochę, że tak mało tchną wonią polskich siół, lasów i łąnów; zżymał się, że ten Kochanowski, to przecież nic innego, jeno Horacy, nie naśladowany i od niego piękniejszy, ale zawsze Horacy: zachwycił się jego wierszami, ich formą, ale nie duchem: on chciał mu dorównać, tylko chciał być więcej polskim, więcej narodowym, więcej rodzimym. Tu już może wytknął sobie drogę, jaką mu iść należało, tu już może marzył o sławie i o poezyi.

Co z sobą Klonowicz po 1567 roku, bakalaureat otrzymawszy, zrobił, niewiadomo. Pan Mierzyński odpowiada: na Rusi był, przyglądał się temu ludowi, który tak pokochał, poznawał jego zwyczaje i zajęcia, słuchał jego klechd, baśni i powieści: oglądał wie i miasta, spisywał wrażenia... heksametrami, zwolna przygotowywał „Roxolanię“. Pewnie we Lwowie dłuższy czas bawił, lat parę: urząd tam może jaki piastował, bo z lwowskim senatem musiały go łączyć jakieś stosunki, kiedy mu swój poemat zadedykował. Tę hipotezę przerywa wiadomość z „Worka Judaszowego“ zaczerpnięta, że w r. 1570 bawił poeta wczeskim „Kromorowie“ (Böhmisch Krumau). Co on tam robił, po co, w jakim celu pojechał, długo był? Zagadka nie rozwiązana. Jest to jedyna wskazówka pobytu za granicą, któraby mogła przeczyć zbudowanym przezemnie hipotezom, odnoszącym się do pobytu w krakowskiej Akademii; powtarzamy jedyna, bo przecież ten zwrot w Genealogii, jakoby Klonowicz w celu dalszych studyów „ad externas regiones atque civitates concessit“ może równie dobrze znaczyć proste „gdzieindziej“, ozdobnie wyrażone. W tym

samym dokumencie „civitas“ użyte jest parękroć razy w znaczeniu: „gmina“, „miasto“. Kromorów pozostanie nierozwiązana zagadką: równie jak cały przeciąg czasu 1567—1574 wypełniają mało uzasadnione przypuszczenia. Nie można się nawet spodziewać wyjaśnienia kiedykolwiek, chybaży dokumenta lwowskie mogły dać jaką, choćby słabą wskazówkę. Dopiero od 1574 zaczynają się dzieje pewniejsze, opisane wyczerpująco na podstawie aktów lubelskich przez pana Detmerskiego. W małej części uzupełnia tę rozprawkę akt sieciechowski, ogłoszony przez ks. Gackiego i rzecz p. Przyborowskiego o „Roku śmierci Klonowicza“ (Ateneum, 1878). Tam odsyłając czytelnika, zaznaczamy w dalszym ciągu tylko najważniejsze szczegóły, zwłaszcza takie, które mogą posłużyć do skreślenia nieuwzględnionej w tych rozprawach charakterystyki Klonowicza jako pisarza i poety.

## II.

Na te lata, których dzieje niedokładnie nam są znane, przypada pierwszy Klonowicza poemat: „Roxolania“. Wydał go poeta później o wiele, bo w r. 1584, zachęcony może dopiero przez ks. Wereszczyńskiego,—w tym jednak niewątpliwie czasie ukształtowali się już w umyśle poety, podczas jego domniemanego na Rusi pobytu; a wygładzany tylko i wykończony przez lat wiele—tak późno na światło dzienne wyjrzał.

Poematten jest na wiek XVI zjawiskiem tak zadziwiającym, że kiedy go się czyta w polskim przekładzie Kondratowicza, nie chce się wierzyć, żeby to miało być pisane trzysta lat temu, żeby to miał być poemat łaciński, napisany przez poetę, który innych przed sobą wzorów nie miał jak Wergilego i jemu podobnych. Zna się przecież te sielanki innych autorów téj epoki, wie się, że to tylko mniej lub więcej zręczne kopje idyll Teokryta lub eklog Marona: i nie może się wyjść ze zdziwienia, że ta Fedora, łacińskim dystychem oplakująca niewierność kochanka, jest taka prosta, taka naturalna, tak daleko więcej rodzimo-polska od Licydyn i Helenor późniejszego naprzykład Zimorowicza. Sobótka Kochanowskiego, jedyna ze wszystkich wierszy, lud i jego zwyczaj za temat w owym czasie mających, nie ustępuje w niczem trzeciej części poematu o Rusi Czerwonój, a ma nad nim tę wyższość, że jest pisana po polsku i to tak ślicznie po polsku. Sobótkę czytać musiał Klonowicz w trakcie pisania „Roxolanii“: być może, że ona to właśnie ośmieliła go do wprowadzenia tego ludowego pierwiastku do jego poezji. Zachodzi jednak między nimi ta różnica, że kiedy Kochanowski robi to bezwiednie i bezcelowo, nie zdając sobie sprawy z ważności tego nowego czynnika, jaki do polskiej poezji wprowadzał, zachęcony może do tego

najwięcej formą, jaką mu temat „Sobótki“ nastreczał, formą, ulubioną sielankarzem klasycznym, owego śpiewania o zawód (?) Klonowicz z samowiedzą odwzorowuje zwyczaje i obyczaje ludu, przepisuje jego pieśni, notuje powieści, legendy i bajki, podobny w tém do owych zbieraczy, co w pół-trzecia wieku potem, w epoce romantycznych dążeń, pracę całego życia poświęcili, żeby poznać i zrozumieć dokładnie ten lud, w którym szukali hasła nowego odrodzenia. Nikt nie zwrócił uwagi na to ważne znaczenie „Roxolanii“; mało kto się nią zajmował: aż do niedawnych czasów, wszystko, co o niej pisano, ograniczało się do niezmiernie pobieżnych wzmianek po podręcznikach literatury rosyjskich, do dość także krótkich filologicznej natury uwag Mierzyńskiego i kilku słów, jakimi Kondratowicz przekład swój poprzedził. Niedawno dopiero ks. Kantecki w lwowskim „Przewodniku naukowym“ opowiadał jej treść i zestawiał oryginał łaciński z polskim tłumaczeniem, przyczém z tém ostatniem obszedł się dosyć surowo: przekład ten tak zły nie jest; prawda, że tok jedenastozgłoskowego wiersza nie może dobrze oddać tonu łacińskiego dystychu; prawda, że tłumaczenie nie zawsze jest wierne i dosłowne, że często znajdują się w niém pewne uzupełnienia, opuszczenia i poprawki: mimo to jednak wszystko, nastrój poematu oddany jest dokładnie i prawie bez zarzutu. Koloryt (aczkolwiek tego można się po Kondratowiczu obawiać) bardzo w niewielu miejscach zmieniony. — Nie wierzono widać jednak przekładowi, do oryginału zaglądać nie miano ochoty i pomijano milczeniem jeden z najpiękniejszych i najbardziej zastanawiających poematów epoki Zygmuntofskiej. A szkoda, bo warto mu się przypatrzeć, warto podnieść jego zalety i wykazać wady; bo wady są i to charakterystyczne.

Większość książek z tego czasu ma jeszcze na sobie cechę owych kalendarzowych zapisków średniowiecznych, gdzie obok astrologicznych notat, przepisywano wzniosłą poezją minnesängera, a zaraz po niej kopiowano receptę na cierpienia żołądka: były to traktaty de omnibus rebus et quibusdam aliis. I prawdopodobnie książki takie wziętość miały największą: biblioteki ówczesne nie mogły obfitować w dzieła specjalne o różnorodnych materjach traktujące; te kilka tomów do podręcznej lektury służących, powinny były być poradnikiem w wielu okolicznościach życia, o rozmaitych powinny traktować przedmiotach, bo jak wiadomo, varietas tylko delectat. Wymagano tego od prozaików, wymagano i od poetów, zwłaszcza takich, którzy poemata grubości całych książek wydawali, a żaden z nich téj tak pożądanej zalety w tém nie posiadał stopniu, co Klonowicz. Będziemy później widzieli, jaką to monstualną mieszaniną w tym rodzaju jest Victoria Deorum. Ze wszystkich innych, w Roxolanii najwięcej

da się ta różnorodność materji usprawiedliwić; jest jakieś, choćby formalne połączenie, przyświeca temu wszystkiemu cel jeden wspólny. I tu jednak wyraźnie widać ten brak jednolitości, brak jednostajnej kompozycji: mimo tego, iż podział zewnętrzny jest bardzo — może zanadto — wyraźny i rozcina poemat na trzy odrodzone od siebie części. Jedną z nich ma opisywać pieśni, wierzzenia i obrzędy ludu i jest ze wszystkich najlepszą, jako dzieło sztuki i jako pomnik charakterystyczny najciekawszą; zarzut owój różnaitości do niej się nie odnosi. Druga ma być opisem miast ruskich: są tu już i filipiki przeciwko żydom i traktat o wolném rybołówstwie i inne rzeczy z treścią nie wiele związku mające; a już część trzecia jest kompletną mieszaniną bezładną. Obok podania o Polifemie i Galatei, jest tu etymologia słowa „cerevisia“, jest opis robienia sera i bajka o rusinie i niedźwiedziu: a wszystko to razem nie powiązane prawie zupełnie.

Sam początek poematu: inwokacya do Muz, oryginalna i wcale ładna. Poeta prosi je, aby opuściły Parnas, otoczony wieniec laurowych lasów. Na Rusi także jest pod Lwowem góra, tylko, że jój czoło opasuje wieniec chmur skłębionych: gromy Jowisza rozstrzaskują się bezsilnie o jój szczyty, wściekły wichur obezwładniony odbija się od jój ściany. Tutaj Muzy zasiąść mogą i opiewać piękności ziemi, która Argolidzie nie ustępuje urokiem i żyznością: opisywać we wdzięcznej pieśni wsie, łąki i lasy, — rzeki, jeziora i miasta, — zwyczaje wreszcie ludu, który je z otwartemi przyjmie rękami. Kłamią ci, co mówią, że na Sarmackiej ziemi mróz wieczny i zima: niech świadczy o tém zboże, w dalekie rozwożone kraje i obce żywiące narody, że i tu słońce wiosenne napęlnia życiem całą przyrodę, rozwija liście i kwiaty, złoci kłosa pełne i ciężkie, i przyrumienia dojrzałe owoce. Jestto wyraźnie apostrofa do poetów, żeby zerwali z naśladowaniem klasycznych pisarzy, żeby do żywych zwrócili się wzorów, które przed sobą mieli; zachęcenie i wezwanie, żeby zaprzeczyli potwarczym wieściom i pokazali światu, że „i my mamy Alpy nasze, że i nasza ziemia w dowcip nie uboga“... Jestto jak gdyby program poetyckiej działalności, którą sobie wyznaczył Klonowicz — niewątpliwa wskazówka, że kierunek jego twórczości obrany był z samowiedzą — a zarazem podział Roxolanii na trzy części: o których już wyżej mówiliśmy, mianowicie: na opis ruskiej przyrody, ruskich miast i ruskiego ludu.

Muzy, posłuszne wezwaniu poety, dają ku Lublinowi (wyrażna wskazówka, że tam Klonowicz Roxolanię ostatecznie wykończył) i przypatrują się cicho szmerzącej Bystrzycy, której jeden brzeg zarasta wierzbami a drugi jodłą i sośniną polną: znajdują sobie zieloną, kwiecistą łąkę i obierają ją za miejsce spoczynku; ztąd nastroiwszy liry, lutnie i harfy, udają się razem z poetą na wędrowkę: chronią się naprzód przed upalnym skwarem pod zieloną oponeg liści i spoczawszy na gęstej i miękkiej



trawie przysłuchują się szumowi drzew, w którym rozróżniają inny głos dębu a inny olszyny; szmerowi kaskady i śpiewom ptaków. Wśród nich góruje słowik, wstrząsający całą knieją wielkimi tonami z drobnuchnej piersi dobytymi. Chór ptasi mu wtóruje: każdego ton inny słyhać, a przecież wszystko razem łączy się w tak miłą i harmonijną całość, że przechodzeń, choćby najspieszniej w dalekie podązał strony, przystanie zasłuchany w ten rozkoszny rozhovor... A kiedy jedna z Muz próbowała zacząć piosnkę i ton jeden z fletni dobyła, cały las jój tym tonem oddzwieczał, podając go od drzewa do drzewa...

Zaczem spór się wszczyną między Muzami, od czego zacząć opiewać ruską ziemię: rozstrzyga go Apollo, każąc im wielbić lasy: drzewa pierwój tu były niż ludzie... i ni ztąd ni zowąd zaczyna Febus opowiadać Muzom, zkąd się Rusini wzięli, jak się tu dostali i w jaki sposób się osiedlali. Po tój pierwszej dygresyi wraca napowrót poeta do opowiadania i znowu, już teraz w usta Muzom kładąc opisy, kreśli obraz (mniej dobry niż poprzedni) nieprzebytego boru: dość katalogowo wylicza rozmaite gatunki drzew na to, ażeby potém wprost wypowiedzieć pochwałę, że ruskie polano hartowniejsze od stali i żeby przejść do szczegółowego opisu roboty wozu. Wszystko tam wyliczone na stopy, jak co być powinno, jakie drzewa są do roboty przydatne, a jakie nie i dla czego? Z Muzami rozstaje się już stanowczo i zapomina o nich zupełnie. Od roboty wozu, czyli kolasy, przechodzi do roboty sochy, i opisuje jój budowę szczegółowo, na to, ażeby znowu napisać ładny ustęp, choć bardzo krótki, o orce, zkąd schodzi do porównania pługów ruskich i podolskich. Znów nieuzasadniony przeskok do lasów, w których trawa ma być tak wysoka, że grzbiety bydłce przerasta a pasterz rogi tylko dojrzyć może. Malowniczo wygląda ta trzoda, rozproszona po leśnych polanach, gałęzie drzew mająca dla siebie za stajnię i obory, wyzywająca na rogi stado wilków; malowniczo ten szałas pasterski z chróstu, całoroczne mieszkanie stróża tój niezliczonej trzody, która do domu wraca zimą dopiero. Wielką siłę i obrazowość ma nadspodziewanie opis rzeźniania wołu: jest tu jedno porównanie teoretycznie nieco chybione, ale z zacięciem epickim. Byk jest podobny do zbrodniaza, zasadzonego na ścięcie, który przed ostateczną chwilą, ze zgrozą spogląda na topór, mający mu śmierć zadać; a zaraz idzie gospodarski traktat o tém, które zwierzęta przeznaczać trzeba na śmierć, które do pracy i obszerne motywa. Nie jest to pisane w celu dyplomatycznym: robił to Klonowicz z dobrą wiarą, myśląc, że to należy koniecznie do opisu zwyczajów ruskich; nie potrafił jednak zachować miary, między tém, co się w zakres ten kwalifikuje, a co nie; i wszystko, bez żadnego wyjątku w formę dystychów ubierał. Po takich prozaicznych dygresyach spostrzega się zwykle, że zabrnął zadaleko, i jak gdyby

upominany przez te Muzy, które prosił na początku, żeby go zwracały z drogi, kiedy zbłądzi, do przerwanej przechodzi przedmiot: i teraz napowrót wraca do trzody domowej, którą na wieczór do stajni zapędzają pasterze. Sliczny sielski obrazek schyłku dnia i wieczornych zajęć dość nieorganicznie powiązany z obrazem zimy: „nie dbając na nią zalotna jodła rozpuszcza ku ziemi swój ciemny warkocz, zatrzymując śnieg na gałęziach:— żółta trawa pod nią prześwieca“. Czasem pasterze na taką trawę puszczejają trzodę, aby jęj skrócić niewolnicze chwile zimowego zamknięcia. Znowu przerwa, znowu przeskok: tym razem nie tracimy jednak nic na nim, bo przysłuchujemy się bardzo pięknie opracowanemu podaniu o Polifemie i Galatei; i co dziwniejsze, a dla Klonowicza bardzo charakterystyczne, ten Tytan, który się żali: „Czemuż mnie losy rybką nie stworzyły! wtedy mógłbym w czystych nurtach dowolnie pływać i przyglądać się uroczym kształtom mojej pieszczołki!“ o tyle jest mało klasyczny, o ile mało polskimi są te wszystkie Tytury i Halcyony, przebrane za naszych parobków. Trafnie zauważył Mierzyński, że na tém opowiadaniu znać wpływy Teokryta i Owidiusza, którzy ten sam myt obrabiali: Teokryta powiedziałbym nawet głównie: tamto podobnie mówi Polifem: „O! czemuż skrzel nie mam pod pachami i dopłynąć do ciebie nie mogę i w objęciach cię utulić“. Ale już z tego przykładu widać, jak Klonowicz z wzorami swojemi się obchodził, jak za nimi niewolniczo nie szedł i jak im (mimowolnie zapewne) rodziną nadawał cechę.

Podobnie, jak na początku do Muz, tak teraz do Galatei zwraca się poeta, radzi porzucić Sycylijskie pagórki i niezdarnego olbrzyma, a pomknąć ku Rusi, gdzie i mleko smaczniejsze i miłsi pasterze. Szczęśliwym tym zwrotem przechodzi do opisanja doju; a poprzedza to opowiadaniem jakiegoś przesądu, jakoby węże miały ssać krowy, które jakoby do tego tak przywykały, że same węzów po lesie szukają i giną wycieńczone, jeżeli przezorny pasterz węza nie wysłodzi i nie zabije. To wszystko opowiadane rozwlekłe, ale bardzo epicznie: zwłaszcza zabicie węza opisane wspaniale, z Wergiliuszowską prawdziwie plastyką (przypomina nawet jedno miejsce z II ks. Eneidy). Czuje Klonowicz doskonale, że to, co opowiada o doju i o fabrykacyi sera, nie powinno się tu znajdować; to też zwraca się do czytelnika i prosi go, żeby mu przebaczył, kiedy gadać będzie o tém, „mając na względzie, że to rzecz ojezysta.“ Poglądy społeczne poety, o których tyle zawsze się słyszy, ograniczają się tu do współczucia z czarną dolą i dotkliwą nędzą ludu: zobaczymy, czy i o ile rozwiną się w „Victorii Deorum“: tu mu tylko żal tych dzieci żyjących dziko, razem z bydłami, nie wiedzących nawet co to szkoła, znających tylko służbę i niewolę; ale jak gdyby chcąc te smutne myśli rozproszyć dodaje zaraz potem, że prze-

cież i ten lud wiejski ma swoje przyjemności. Na brzegach rzeki rosną pochylone wierzby, są oczerety, jest sitowie wodne: ztamtąd mogą sobie chłopcy fujarkę wyst rugać i rozpogodzić umysł przeciągle gwizdząc, zasiadłszy pod drzewem rozłożystym, miłosne pieśni lub stare podania. Mają swoje zabawy wspólne przy rozpaloném ognisku, gdzie zawodzą koła taneczne z toporami w górę wzniesionemi: zdarza się, prawda, czasem, że krew płomień zagasi. Lubią chłopcy po wyniosłych drzewach się wspinać dla igraszki lub gwoli łupu: szukają tam jemioly sposobnej do siedeł na ptaki. Czasem spadnie który i śmiercią zabawę przypłaci, ale taka już natura Rusina, że po powietrzu bujać musi. Niczego się nie zleknie: swobodnie obraca się po lasach, legowiskach i mieszkaniach niedźwiedzi; bez liku tu ich jest: możnaby śmiało Rusię Ursią z tego powodu przezwać. Traktat o niedźwiedziach zaczyna się obszerny: jak wyglądają po urodzeniu, jak zwolna dopiero podobnymi do niedźwiedzi się stają, jak Rusini umieją chwycić je i za pomocą muzyki oswajać: bo potężna jest władza wszędzie królującej muzyki, kiedy ona leśne obyczaje dzikich zwierząt ułagodzić nawet potrafi. Bardzo Klonowiczowi zresztą się nie podoba zwyczaj oprowadzania sztucznie wyczonego niedźwiedzia: kobietom wprost niepozwała na to się patrzeć, jako na nieprzystojną zabawkę: mogłaby być chyba użyteczną leniwym parobkom na upokorzenie, że nawet dzikie i nieokrzesane zwierzę do posłuszeństwa i pracy przymusić można, podczas gdy człowiek, obdarzony rozumem tak trudno się do nich nagina.

Oprócz niedźwiedzi są i inne na Rusi zwierzęta: skóra ich jest przedmiotem korzystnego handlu i jednym ze źródeł krajowego bogactwa: w zimie polowanie na nie jest główném zajęciem i główną zabawą. Przy tej sposobności podany jest ciekawy myt o zimie. Równie jak Wulkan ma i Boreasz swoją kuźnię: nie Cyklopi pomagają mu, ale postacie, jak się zdaje, przez Klonowicza samego wymyślone: Psychus, Krystallus i Avus. Kuźnia ta znajduje się gdzieś w hyperborejskich lochach: ztamtąd wychodzi zima, a takim trybem odbywa się robota: Boreaszowi pomocnicy biorą wodę i kładą ją na zamrożone kowadło, w które Avus strasznym młotem uderza; Psychus dopomaga mu, dmąc miechem, napelnionym wichurą. Po krótkim czasie wobec panującego w lochach zimna, woda zamienia się na ciało stałe, a Krystallus okrywa tą skorupą wody i morza. Daremnie sroży się Neptun: straszliwe: Quos ego! nie nie pomoże. Boreasz silniejszy. Taka jest geneza lodu. Podczas kucia zamiast iskier dobywają się z pod młota białe płatki, miechem Avusa w daleki świat pędzone: to śnieg i szron. Barwny obraz lubelskiego targu, na którym myśliwi zdobyty towar sprzedają, w zamian zagraniczne skupując produkta, naprowadza wzmiankę o winie i wielkie dowodzenie, że narodowe piwo zdrowsze jest i lepsze od trunków importowanych;

zład komponuje bajkę o dwóch Bachusach, z których jeden wziął w posiadanie obszar ziem południowych, drugi północnych; temu ostatniemu nie udało się chodowanie winogrodu, który wybujał wysoko i przerodził się w chmiel. Pochwała piwa naprowadza go na filologiczny wywód słowa Cerevisia od Cerery, ponieważ w skład piwa wchodziło zboże. Natomiast nie może się Klonowicz powstrzymać od słów oburzenia, kiedy mówi o wódce: zaczyna się tu objawiać pewna do satyry skłonność: tu jeszcze jednak stanowczo idzie drogą, po której kroczył Juwenalis: nie nasmiewa się i nie natrzasa, ale się gniewa i karci. Nad wino, piwo i wódkę, przekłada jednak poeta miód: miódem chyba kwitnąca Hebe nieśmiertelne bogi napawa; o ile Jowisz jest wyższy od Bachusa, o tyle miód lepszy od wina; a jaką obfitość miodu Ruś posiada, dowodzić tego ma ładna bajka, powtarzana bodaj nieraz po szkolnych wypisach:

Stał sobie pień stary, spróchniały, nocne schronienie sowy czyhajacej, aż się zbierze sejmik ptaszy; wreszcie i sowie nawet sprzykrzyło się siedzieć w zgnikłej dziupli: pień stanął pustką... Robocze pszczoły postanowiły go spożytkować i założyły sobie wewnątrz swoje domostwo, szczęśliwe, że niedostrzeżone przez człowieka nie potrzebują płacić mu daniny, szczęśliwe, tak jak Rzeczpospolita, kiedy złożywszy tyrana, spokojem, rządem i sprawiedliwością zakwitnie. Długie lata gromadziły pszczoły swoje bogactwa, powiększając je ciągle z pokolenia w pokolenie: aż wreszcie wyszedł je niedźwiedź zgłodniały i nie zważając na przeszkody, często do otworu zaglądał, posilając się smakowitym miodem. Wkrótce potem, niemal równocześnie, odkrył te słodkie składy Rusin wędrujący po borze, wdrapał się do góry po gałęziach i sękach widłatych, a nie mogąc ręką dostać miodu postanowił dostać się wewnątrz. Mniemał, że wyżej, jak po ramię otwór mu sięgąć nie będzie: tymczasem zapadł nieborak zupełnie. Nuż jęczeć i Boga wzywać, nad przedczesną śmiercią rozmyślać i śluby wybawienia czynić, że zakupi do kościoła gromnicę grubszą i większą niż ten dąb, że kościół na tym miejscu postawi... A charakterystyczne jest to, że więcej jeszcze niż śmierci obawia się, że złodziej nieobecność gospodarza dostrzegłszy, okradnie go ze szczętem. Pan Bóg zlitował się nad nieszczęśliwym i zrzucił tak, że właśnie w tej chwili przyszedł niedźwiedź na zwykłe śniadanie... Rusin chwycił za zanurzoną w miodzie łapę, szczęśliwie się na wierzch wydobył, niedźwiedzia zabił i do domu powrócił, o dopełnieniu ślubu ani myśląc“.

Bajka ta opowiedziana jest prawdziwie wytwornie: każdy szczegół w niej wykończony i plastyczny, ciągnie się lekko, zabawnie i swobodnie, szczęśliwie zamykając część pierwszą. Nad tą częścią rozszerzyliśmy się więcej niżby może należało, żeby dać poznać sposób pisania Klonowicza, żeby przedstawić tę mo-

zaikę rzeczy najróżnorodniejszych, klassycznych mytów i rodzinnych bajek, nudnych traktatów dydaktyczno-opisowych i najpiękniejszych krajobrazów przyrody. Oszczędzimy sobie w ten sposób rozszerzenia się nad treścią „Victorii Deorum“.

Część druga, poświęcona miastom, gdzie takich dygresyji nie ma już prawie wcale; przy opisie Lwowa tylko, o żydowskiej opowiadając dzielnicy, wybucha Klonowicz jakąś dziwną nienawiścią przeciwko Judejczykom: gniewa się na rząd, że pozwala im żyć na ziemiach polskich i wysysać z nich soki żywotne; porównuje ich do robaków, toczących zdrowy dąb; zwolna, pomалу, niewidocznie, z początku wygryzają jego wnętrze. Zobaczą króle z kąd przyjdzie zguba na Rzeczpospolitą, — ale wtedy będzie już zapóźno: całą krew jęj ciała żydzi wysysają już wtedy. Czas opamiętać się póki można. Jeżeli klątwy na ten ród niewierny nie rzuca poeta, to tylko dla tego, że w ogóle kląć się nie godzi. To jedno świadczące, że chyba bardzo już wiele doznał Klonowicz od lichwiarzy, za czasów pobytu we Lwowie, może od tego czarnego Focha, o którym w „Worku“ wspomina. Drugi raz zaś odstępkuje od rzeczy wtedy, kiedy przy Krasnymstawie broni prawa wolnego rybołówstwa: „wolno mi ptaki łowić pod chmurami, a któż mi w rzece łowić zabroni!“ — Zresztą idą po sobie kolejno opisy: Lwowa (najdłuższy i najdokładniejszy), Zamościa, który się wtedy właśnie budował. Jest tu i wzmianka o przyszłej Akademii. Dalej opis Kijowa (który nazywa Rzymem ruskim i nad świętościami jego się rozwodzi), Kamieńca (apostrofa do niego nadzwyczaj piękna), Buska, Sokala, Horodła, Belzu, Przemysła, Drohobycza, Chełmu i Krasnegostawu. Wszystkie te miasta, z wyjątkiem czterech: Kijowa, Kamieńca, Przemysła i Drohobycza leżą na drodze ze Lwowa do Lublina: to daje powód Mierzwińskiemu do twierdzenia, że Klonowicz wprost ze Lwowa tam właśnie przybył.

Wreszcie część trzecia, dla nas najważniejsza, zajmuje się rozpowiadaniem wszelkiego zwyczaju i obyczaju, jakim ludzie rządzą się na Rusi. Klonowicz przechodzi wszystkie fazy życia człowieka, coś, jakby Schiller w „Pieśni o dzwonie“. Zaczyna od chrztu i od pierwszego płaczu dziecka, od piosnki śpiewanej przez matkę nad kolebką: to, co ona śpiewa dziwnie przypomina nawet dzisiejszą pesymistyczno-ludową poezją. To, co mówi ta matka, uspokajając krzyki dziecka, jest tak naturalne, że dzisiaj niepodobna znaleźć innych słów, jak te, których ona używa: „Przestań płakać, bo wrzucę cię do wody: — ryby cię zjedzą: o! patrz! idą wilki, — cicho mój kwiatku, bo cię oddam wilkowi“. Przy sposobności chrztu krótki obrazek wnętrza domu ruskiego duchownego: około komina uwija się gospodyni, na ziemi bawią się małe dzieci, ksiądz przyjmuje rusinkę, która mu dziecko do chrztu przynosi. Zabawy dziecinne i sposób życia, naiwna wiara i go-

rażość uczuć, ukazują nam się w barwnych panoramowych obrazkach: widzimy parę przyjaciół, przysięgających sobie przed ołtarzem miłość dożywotnią, widzimy wieszczki, wróżki i czarownice, w których potęgę sam poeta wierzyć się zdaje, słyszymy romantyczną historią o Fedorze, którą kochanek zdradził, — ale czarami przywołany, napowrót rozkochuje się tak jak dawniej... Mimowoli przychodzą nam na myśl analogiczne obrazy z „Anny z Nabrzeża“ i przyznać trzeba, że porównanie tylko na korzyść Roxolanii wyjść może. Tu poraz pierwszy zjawia się w uczonej poezji nasz polski dyabeł w postaci kozła, po raz pierwszy mamy przedstawione z obiektywnego punktu widzenia rzeczywiste wierzenia ludowe, i mamy rękojmię, że nie są one importowane zkażdą, jak to często podejrzawać można u naszych romantyków. Cały poemat zamyka się obrzędem pogrzebowym, zawodzącym śpiewem płaczek, ubolewających przedewszystkiem nad tём, że majątek zmarłego w poniewierkę pójdzie, i listem, jaki zmarłemu dają w rękę, do św. Piotra adresowanym. Książd poleca w nim nieboszczyka, że wykonywał pilnie cerkiewne przepisy i że był wiernym wyznawcą greckiej wiary: nie był on mówcą żadnym, ani uczone, — jeno pilnym oraczem; nie potrafi się składnie wytłómaczyć z tego, co mu tam zarzuca, prosi więc książd, żeby święty rybak był dla prostego rolnika wyrozumiałym i pomógł mu dostać się do nieba. Do listu tego dołącza się szeląg, aby umarły był zaopatrzony na drogę od wszelkiego przypadku, — czasem dają mu potrawy gorące, ale to już według poety, jest obyczaj śmieszny, bo jak wiadomo dusza nie zna ani głodu ani pragnienia.

„Roxolania“ wyszła wtedy, kiedy poezja pod wpływem humanizmu rozwinięta i na jego pierwiastkach oparta, dosięgnęła swego szczytu w Kochanowskim. Później zasłynie ona jeszcze blaskami nie tak świetnymi, ale zawsze jasnymi bardzo w Szymonowiczu i Sarbiewskim, żeby wreszcie zagasnąć na dobre. Ten początek jej upadku datuje już od Kochanowskiego śmierci, która wkrótce po wyjściu „Roxolanii“ nastąpiła. Wystąpią pierwiastki nowe, można się będzie w Zbylitowskich, Zimorowiczach dopatrzeć jakiegoś poczucia potrzeby otrząśnięcia się z form już martwych i konwencyonalnych pomysłów, jakich dostarczał klasycyzm. Wewnątrz przeobrażenie poezji zaprzeczyć się nie da: duch jej w pierwszej połowie XVII-go wieku przedstawia się zupełnie odmiennie. Formy atoli pozostają zawsze dawne: nie zjawia się żaden talent wyższy, żadna głowa genialna, któraby zdolna była rozzerwać krępujące więzy, jakie tradycyjnie nakładał humanizm: i to była przyczyna, dlaczego ta rodzima poezja w samych zawiązkach swoich przygasła — dlaczego przyszła pierwsza połowa XVIII wieku bez poezji żadnej. Otóż ten zwrot z utworowanej przez humanizm drogi, widoczny wyraźnie później,

zdaje nam się pierwszy raz dobitniej u Klonowicza objawiać. Poezja Reja nie miała form żadnych: prawie, że nie wkraczała w zakres poezji uczonej. Musiała się podobać szlachcie i ogółowi, ale tym, którzy wykształceniem czuli się od Reja wyżsi, musiało się zdawać, że takie rymowanie prostackie, rąbanie niewymyślne nie mogło służyć za wzór do naśladowania, nie mogło walczyć z poezją, która wydała Janickich i Kochanowskich. Klonowicz ceni (w Żalach) bardzo wysoko Reja, znaczenie jego wysokie rozumie, ale — z początku przynajmniej — boi się pojsć jego drogą, boi się przyjąć jego form, które właściwie formami nie są, — a że jego samego na nic oryginalnego pod tym względem nie stać, obiera kierunek pośredni. Aparat, suknię zewnętrzną pożyczca zupełnie od humanistów: zupełnie wzorowo od wezwania muz poemat rozpoczyna i w ogóle o rodzimości formy nie stara się bynajmniej: chodzi mu tylko o przelanie swojskiego ducha. I ztąd ta dwoistość, ta walka dwóch różnych, niezgodnych z sobą pierwiastków, której ślady znać w całej poetycznej Klonowicza działalności: ztąd nawet ten dziwaczny pomysł napisania „Roxolanii“ po łacinie. Nieodżałowana szkoda, że ten poemat nie jest napisany po polsku: a zresztą, kto wie, możeby gorzej wyglądał. Klonowicz nad wierszem polskim nigdy nie zdołał zupełnie zapamiętać; tam nawet, gdzie najlepiej się on udaje, w „Żalach nagrobnych“, często jest chropawy, niejasny i niezgrabny; podczas kiedy łacina „Roxolanii“, jest zdaniem znawców, doskonała, dźwięczna i dokładnie naginająca się do myśli poety. Czuł to widać sam, kiedy nie odważył się na polszczyznę w pierwszym dziele porwać; a powtóre, obowiązkiem jak gdyby było ucznia Akademii, idąc śladami jej mistrzów, pokazać światu, co się tam w tej Akademii nauczyło. Dołączał się może do tego i cel przez Maciejowskiego przypuszczany, żeby cudzoziemcy także mogli z tego opisu poznać piękności ruskiej ziemi, chociaż w każdym razie jest to powód uboczny: o ile widać z poematu, wszędzie ma na myśli czytelnika-rodaka. Żeby już zakończyć z wpływami klasycznymi, powtórzmy, że są one czysto zewnętrznej natury: dodajmy, że naśladowanie techniki pisarskiej autorów starożytnych udaje mu się nieszczególnie: porównania naprzykład (jak i inne zwroty i figury Wergeliuszowi zwłaszcza właściwe) nie mają pełności, zaokrąglenia, są robione sztucznie i nietrafnie, chociaż znać w nich staranie i zamach epicki. Wogóle trzyma się Klonowicz dość niewolniczo pod tym względem „wszystkich poetów herszta“, autora Georgik, z których w kilku miejscach, jak wykazuje Mierzyński, prawie dosłowne trafiają się reminiscencye (zwłaszcza w cz. I) i których wpływ znać potrosze w układzie poematu. Tyle o formie — a o treści? Przytoczyłem ją dosyć szczegółowo, sąd o niej wyrobić sobie łatwo: wypada mi tylko położyć nacisk na jedną rzecz, której w opowiadaniu uwzględnić nie

było można, mianowicie na opisy przyrody. Jest w nich takie poetyczne odczucie natury, wpatrzenie się w nią tak dokładne, sposób malowania taki zgrabny—jakiego niema w pisarzach klasycznych, jakiego niema u nas w wieku XVI i w epoce o wiele późniejszej. Nie jest to metoda malarska, szczegółowa, jaką się posługuje Trembecki i Mickiewicz: jeżeli ją można z czém zestawić, to chyba ze sposobem, w jaki maluje przyrodę Słowacki. Jest to dotknięcie w przelocie kilku wybitniejszych szczegółów, szkicowanie zaledwie mimochodem, a przenoszące czytelnika bardzo wyraźnie w sferę opisywaną miejscowości. Naturalnie porównanie to, jak zresztą każde, ma swoje słabe strony; Klonowicz jest cięższy, mniej za sobą porywający, nie tak barwny i świetny; on na przykład stworzyć jakiegoś obrazu nie byłby w stanie (fantazyę ma bardzo niewielką): on tylko maluje to, co widzi, ale maluje dobrze i pięknie. Do psychologicznego portretu autora „Roxolania przynosi nie dużo: (nie mniej jednak od dzieł innych, w tego rodzaju szczegóły nie obfitujących) usposobienie wrażliwe, namiętne (nienawiść do żydów i satyra na pijaństwo), umysł rozdartany, nielogiczny (dygresye, przeskakiwanie nieuzasadnione), przytém—dość ważna i konieczna do zaznaczenia—żarliwość religijna, i to ściśle katolicka (dygresya o protestantach w części III, opisy Lwowa i Kijowa w cz. II); to i wszystko, co się z „Roxolanii“ da wyciągnąć, to wszystkie ślady indywidualności jęj autora, w którego dalszych losach rozpatrzeć się zamierzamy.

### III.

Nie wiadomo, jaki powód skłonił Klonowicza do przesiedlenia się do Lublina; nawet czas (jakeśmy to już wyżej zaznaczyli) tego przesiedlenia się na pewno nie jest znany. Faktem jest tylko, że w aktach lubelskich nazwisko Klonowicza spotyka się poraz pierwszy pod rokiem 1574; w roku tym bowiem obejmował urząd pisarza radzieckiego po zmarłym Adamie Wogisławskim, którego swoim najserdeczniejszym nazywa przyjacielem (*desideratissimus amicus*). Ta ostatnia wskazówka nasuwa panu Detmerskiemu na myśl przypuszczenie, że już na czas jakiś przed 1574 r. Klonowicz w Lublinie być musiał, kiedy mógł zawrzeć związki przyjaźni. O ile zapewnieniu o niej wierzyć można, a o ile tylko za zdawkowy frazes uważać trzeba, — trudno rozstrzygnąć.

Do 1580 nie o Klonowiczu nie słyhać. Urząd swój pisarski sprawuje, jak się należy, pisując na marginesach łacińskie heksametry o pogodnym nastroju ducha: co rok prawie prosi Boga, żeby przyszłość nie różniła się niczém od przeszłości. Oto



przykład jeden: „Pod Twém przewodnictwem szczęśliwie toczył się rok przeszły, idąc przez dwanaście znaków bieguna niebieskiego. Pod Twém przewodnictwem powracający po trupach swych Febus, niech nam, o Chryste! szczęśliwe losy sprowadzi“. A w tym właśnie roku „przeszłym“ (1580) odbył się ślub poety z Agnieszką Wiślicką. Już w połowie następnego roku heksametry tracą dotychczasową swoją pogodę: gorycz z nich przebija i zgryźliwość: „Prostota sprawiedliwego męża i życie czyste prostą drogą bieżące, daleko są lepsze niż złośliwa przebiegłość, niż kręte zwoje fałszów, jakie uczeni w wielkiej ilości snuć zwykli“. Albo „Precz ztąd toczcie się złowrogie Parek wrzeczona, a przybywajcie błogie, kierowane przez Boga najwyższego“. A do téj goryczy i zgryźliwości, jaka już odtąd prawie zawsze w pismach jego się przebija miał poeta powodów wiele. Bezwątpienia ożenił się z miłości <sup>1)</sup>: wszedł jednak w rodzinę kłótniwą i niezgodną, w której zwłaszcza matka żony jego, pani Małgorzata odznaczała się niepowściągliwym i namiętnym charakterem. Na domiar złego został Klonowicz zamianowany testamentem teścia opiekunem rodzeństwa żony i administratorem majątku, składającego się z kamienicy narożnej położonej w rynku miasta i ogrodów wraz z domem, zwanym „Podmur miński“. Na te dwa domy i te ogrody spadkobierców było sześciu; więc była naprzód sama pani Wiślicka, której według testamentu przypaść miało dożywocie na kamienicy wiślickiej wraz z zapisem 300 złotych; potem nieboszczyka Jana Wiślickiego siostra, Klonowiczowej ciotka, Elżbieta, zakonnica reguły św. Benedykta w klasztorze lubelskim NMP. de Triumpho, której prawa trzeba było corocznym czynszem spłacać; dalej druga pani Agnieszki, ciotka, za ławnikiem Janem Roźniatem; później idą dzieci: najstarszy Piotr powroźnik, młodsza Regina za Jerzym Wysokińskim, której legował Jan testamentem 100 zł. pol. i wreszcie Klonowiczowie, którzy wszystkich mieli spłacać i zaspakajać możliwe i niemożliwe pretensye.

Straszny obraz tych wszystkich skarg, procesów i kłótni dają ogłoszone przez pana Detmerskiego akta lubelskie. Niepodobna i nie na wieleby się zresztą przydało powtarzać cały tych bardzo nieraz skomplikowanych historii przebieg, — można go znaleźć w powyżej cytowanej rozprawie. Tu tylko zaznaczy się główne fakta i charakterystyczniejsze szczegóły, które w dosyć beładném i zagmatwaném przedstawieniu pana Detmerskiego łatwo ująć mogą uwagi.

---

<sup>1)</sup> Dowodem tego mogłaby być wiadomość, że „zawianował żonie przed wszystkimi innymi 200 czerwonych złotych na wszystkich dobrach, prawach i sumach swoich, którebykolwiek miał albo mieć ma na potem.“

Kiedy umarł Jan Wiślicki, ojciec Agnieszki, niewiadomo. Wówczas gdy pisał testament, Klonowicz jeszcze zięciem jego nie był. Zdaje się jednak, że ślub odbył się przed śmiercią Jana i państwo młodzi zamieszkali w dotychczasowym domu mieszka- niu. Podczas choroby i zapewne jakiś czas po śmierci Jana zarządzała całym majątkiem żona jego Małgorzata: zarządzała zaś tak pięknie, że kiedy Klonowicz sprowadził się na mieszkanie do kamienicy wiślickiej, gołe prawie zastał ściany: strata w gotówce, klejnotach i ruchomościach wynosiła przeszło 10,000 złotych: a tu trzeba było spadkobierców wszystkich spłacać, niewyrozumi- ałych bynajmniej; długi się także pokazały, ciężące na hypo- tece, niewielkie wprawdzie, ale zawsze dające się we znaki. Przecierpiał to jednak poeta z początku: nie chciał wszczynać procesów i kłótni w łonie rodziny, do której wszedł niedawno: cierpliwość jego wkrótce wyczerpała się przecież, kiedy pani Małgorzata „niespokojnością, awanturami, najsromotniejszym zachowaniem się i bezwstydnym prowadzeniem“ zakał rodzinie przy- nosić zaczęła. Podał więc prośbę do radzieckiego sądu, żeby pretensye Wiślickiej uznane zostały za zaspokojone i żeby wię- szanie się w zarząd majątkiem było jój wzbronione. Ztąd naj- rozmaitsze awantury: przychodziło do krwawych bójek między matką i córką, do nieustających zająć między Klonowiczem—kto- ry się nieraz unosił nad miarę—a teściową, nie chcącą ustąpić na żadnym kroku. Wzajemne obelgi, najsromotniejsze nawet, wytaczały się aż przed sądem: oto np. oskarża Klonowicz Małgorzatę, że z chorem dzieckiem swoim, Michałem, nieludzko się obszła, skut- kiem czego dziecko wpadło w chorobę większą i umarło. Pierw- szy peryod tych procesów kończy się dopiero w roku 1583, kiedy Klonowicz został obrany ławnikiem i kiedy pani Małgorzata pow- tórnie za mąż wyszła za Stanisława Bachusa. Następuje dla poe- ty chwila względnego wypoczynku w roku 1584, w którym umarł Kochanowski, co było Klonowiczowi powodem do napisania „Żalów nagrobnych“. Nie ulega wątpliwości, że Kochanowskiego nasz poeta znał osobiście: niepodobna przypuścić, żeby nie zetknęli się w Lublinie. Niewiele nawet brakowało do tego, żeby Kocha- nowski, przybrawszy suknie duchowne, na poblizkiem opactwie Sieciechowskiem nie osiadł i nie zajął tego miejsca, na którym od 1580 widzimy księdza Józefa Wereszczyńskiego, szczególniej- szego Klonowicza patrona i mecenasa.

Już w 1585 r. procesy Klonowiczowi na nowo dokuczać za- częły: Wysokińska, a nie tyle ona, ile raczej jój mąż, Jerzy, pani Bachusowej przyjaciel, (jak można wnioskować ze skargi Klonow- cza, który mówi, że Jerzy dopomagał pani Małgorzacie w marnotrawstwie), wytacza Klonowiczowi proces o wypłacenie legowa- nych testamentem 100 zł. pols.: do tego dołączają się procesy nie- rodzinne z obcymi. Niejaka pani Regina Stanowa, wdowa po

Sebastyanie Stano zanosí skargę na opiekunów jęj małoletnich dzieci: Kielczewskiego i Klonowicza, o złe sprawowanie opieki z niezmierną pupilów szkodą, podając zarzuty ciężkie a uzasadnione. Winien był Kielczewski, bez wiedzy Klonowicza niesumienne postępujący: ztąd dla poety zmartwień i kłopotów wiele. Na ten sam rok przypada wielce mętna i zawikłana sprawa „przeciw niejakiemu Mańkowi kuśmierzowi i Klimuntowi kramarzowi, o to, że wszystkie rzeczy po zmarłym Matysie Żeleźniku zabrali, chociaż Matys testamentem swym te rzeczy Klonowiczowi powierzył i uczynił go w pewnej części swym legataryuszem“. W tym wreszcie roku ponawiają się dawne z panią Bachusową spory; występuje ona bowiem tak, jakby nie było układu z 1583 z pretensyami do kamienicy wiślickiej. A co najdziwniejsza, to to, że mimo opozycji Klonowicza, powołującego się na pokwitowanie i przytaczającego fakt, oparty na urzędowej obdukcji, że Bachusowa przy pobiciu jego żony skaleczyła jęj obie nogi i lewe ucho, sąd radziecki, przyznaje pani Małgorzacie pretensye do 300 złotych za słuszne, pozwalając Klonowiczowi do króla apelować. Dla przeszkód jednak niewiadomych, Klonowicz sam proces przed królem <sup>1)</sup> bronić nie może; wyrok zostaje wydany zaocznie na korzyść Bachusowej. Przyczyną, która powstrzymała Klonowicza, i sprawy swojej przed trybunałem królewskim bronić mu nie pozwoliła, były może sprawy albo klasztorne albo zamojskie.

O pięć do sześciu mil od Lublina nad odnogą Wisły leży Sieciechów, opactwo Benedyktynów, bardzo podówczas zamożne: dobra jego duże były i bogate. W roku 1581 opatem sieciechowskim był książdz Józef Wereszczyński: uczony ten człowiek dojrzał zdolności Klonowicza, a zaprzyjaźnił się z nim może wtedy, kiedy poemat jego o Rusi przeczytał, o Rusi, która była ojczyzną rodziny Wereszczyńskiego, którą kochał bardzo, a teraz zobaczył tak pięknie przez Klonowicza opisaną. Widział zapewne opat kłopoty finansowe Klonowicza i radby był bardzo obdarować go „jakowás włoką nad rzeczką“, której tak pragnał, i o którą tak się w „Żalach nagrobnych“ (niedomyślnym Czernym zapewne) przymawiał: nie mógł jednak bez żadnego tytułu rozdarowywać klasztornych włości. Począł więc wynajdywać Klonowiczowi zajęcia różne, sposobność dawać do mniej lub więcej ważnych dla klasztoru przysług, przygotowując w ten sposób braci Benedyktynów do aktu darowizny, który miał miejsce w Sobotę po św. Michale w r. 1588: nadał mu mianowicie „dziesięć łanów dobrej i sprawiedliwej miary lubelskiej w gęstym i niewyrobionym lesie, zwany Opatowe Łąki, położonym między rzekami Brześnicą

<sup>1)</sup> Którym? nie powiada tego pan Detmerski. Z opowiadania jego wynika, że proces ten właśnie na czas bezkrólewia przypadał.

i Krępcem wyżej lasu Zgliszyn, poczynając od złączenia się tych rzeczek i zajmując wszystko między nimi, a idąc wciąż ku południowi, aż się rzeczony łany wymierzają. Tam mógł Klonowicz założyć nową wieś, zwaną Józefów, wybudować w niej dwór i osadzić ilu zechce kmieci i zagrodników dla swojego pożytku, porobić oraz stawki w pomienionych rzeczkach, stawiać młyny i fabrykę żelaza, byle bez szkody boru i lasu klasztornego; kruszec żelazny, czyli rudę w lesie Zgliszyn i gdzieindziej kopać, zwierzyniec przy zejściu się rzeczek utworzyć, karczmy pazaprowadzać, dziesięcinę wybierać i na swą korzyść obracać; czynsze, daniny karne, roboty i służebności od kmieci, zagrodników, młynarzy, rudników, karczmarzy i mieszkańców wyciągać, miarki wszystkie z młynów brać; zupełną i samowładną jurysdykcją nad wszystkimi poddanymi wykonywać. Oprócz tego nadaje dokument wolne pastwisko, wolne cięcie drzewa i wolne polowanie w lasach i dobrach klasztornych. Za to wszystko miał Klonowicz co rok spłacać po złotych sto. Ciekawym jest warunek, na co klasztor te sto złotych używać ma; oto dosłowne brzmienie tego ustępu: „Czynsz zaś ten nie na inny cel winien być obracany, tylko na kupno i nabycie dział do użytku i obwarowania klasztoru naszego sieciechowskiego, który z wielkim nakładem naksztalt zamku budujemy, a który dotąd w największym niebezpieczeństwie podczas bezkrólewioń został, na liczne napady wrogów wystawiony i gdzie odtąd, tak nasi poddani, jak inni ludzie na około mieszkający w klęskach kraju będą mieli pewną ucieczkę i z mieniem swoim schronienie“. Że to było pisane po jednym z takich bezkrólewioń, widać, że prawdopodobnie jakiś fakt rzeczywisty spowodował to przedsięwzięcie środków ostrożności, które rzeczywiście podczas rokoszu Zebrzydowskiego wielkie oddały usługi sąsiednim klasztorowi mieszkańcom. Charakterystyczne to dla Wereszczyńskiego, tego żołnierza pod suknią zakonną, co średniowieczne zakony rycerskie do życia chciał przywołać—owo fortyfikowanie klasztoru, owa fabrykacja dział z herbami „Trzy Wręby“. Jak umiał i jak mógł, — tak chciał zaradzić ranom Rzeczypospolitej; i duchem tym pragnął natchnąć wszystkich: natchnął też i Klonowicza, skłonił go do ogłoszenia „Wróżki o upadku mocy tureckiej“ i do napisania politycznego traktatu, jako bezimienne *Votum szlachcica polskiego*, gdzie zawsze i wszędzie przejęty jest temi hasłami, w których obronie walczył Wereszczyński.

Drugim Mecenasem Klonowicza był Adam Gorajski, jeden z owych trzech posłów przez Maksymiliana uwięzionych, a później czynny rokoszanin z roku 1606. On to właśnie na sejmie warszawskim z tego roku gorąco przeciwko jezuitom występował i jego to zapewne wpływy stworzyły Klonowiczową „*Actio prima*“. Dla niego to, albo na jego żądanie sporządził nasz poeta

swoją Goraide, gdzie jego i jego przodków sławę pod niebiosą wynosi: dostał za to pewnie jakie obfite honorarjum w gotówce, bo niema śladu żadnego inego wynagrodzenia za dzieło, które bądź co bądź nagrody wymagało. Mikołaj Firlej, sławny szkół kalwińskich w Lubartowie założyciel, szkół, które Akademii krakowskiej nawet odbierały uczniów, otaczał także Klonowicza opieką i przyjaźnią i niepomernie pewnie przyczynił się do owęj skrajnej (można powiedzieć) tolerancyjności, która się w późniejszych pismach autora „Akcyi“ przebija. Jeżeli do tego dodamy owych Czernych, dzieźdźców Witowic; wielkich poezyi i poetów lubowników (z których jeden Piotr, wkrótce potem kasztelanem lubelskim został) — łatwo przekonać się możemy, że nie brak było Klonowiczowi poparcia i opieki zarówno moralnej jak i materyalnej. Zgryźliwe tylko i cierpkie usposobienie poety było powodem tego wiecznego niezadowolonia i goryczy, jakiej w wielu miejscach pism swoich składa dowody. Z samych akt procesowych znać, jakim się cieszył zaufaniem lubelskich mieszczan, kiedy wyznaczono go opiekunem małoletnich i wykonawcą ostatniej woli; bliższych stosunków przyjaźni niewiele pozostało śladów. „Worek Judaszów“ tylko przypisany jest Stanisławowi Lichańskiemu „przyjacielowi i koledze łaskawemu“, mityczny „Philtron“<sup>1)</sup> zaś poświęcony współczłonkom jakiegoś Contubernium Literatorum: Tomaszowi Wieczorkowi, Adamowi Przytyckiemu, Sebastianowi Konopnicy, Stanisławowi Kiełczewskiemu, Leonardowi Mrzygłodowiczowi (pierwsi przezwani Consules, ostatni Advocatus, a wszyscy Seniores). Nie trzeba myśleć, żeby to miało być stowarzyszenie literackie w dzisiejszém tego słowa znaczeniu, — albo choćby takie, jakie zakładał za swego pobytu w Krakowie Celtę; było to zapewne jakieś bractwo kościelne, w którego przepisach polecano odczytywać jakieś modlitwy z drukowanych ksiązek; na tém ograniczała się prawdopodobnie literacka działalność owego Contubernium. Wielewicki o podobnym bractwie wspomina, że po krótkim istnieniu ze stowarzyszenia literatów przemieniło się w stowarzyszenie piekarzy; do dziś dnia przy warszawskim kościele katedralnym św. Jana istnieje „Archekonfraternia literacka“. Te wszystkie stosunki nie mogły być zapewne ani bliskie, ani serdeczne. Zbyt wielki był przedział między wykształceniem większości tych rajców lubelskich, a tém, jakie otrzymał Klonowicz. Jeden może tylko Żórawski Mikołaj (starszy), otrzymawszy tak samo, jak i on, bakalaureat akademicki, mógł go pojąć, zrozumieć i ocenić: niema śladu wprawdzie tęg przyjaźni w Klonowicza pismach, ale świadczyć o niej może fakt,

<sup>1)</sup> Mglista tylko istnieje legenda o nim między historykami literatury, chociaż podobno znajduje się w bibliotece Ossolińskich.

że Żórawski po śmierci Klonowicza zabrał się do przekładu „Victorii“ i że syn jego, słynny astrolog, tak dobrze zapamiętał rok zgonu poety, kiedy mógł najmniej w 10 lat potem tak dokładnie ją zapisać. Najważniejszą jednak rolę przyznać należy stosunkowi z Zamojskim; przecież zanim zaczniemy o nim mówić wypada nam przyjrzyć się pismom, które z tej epoki (1574—1588) pochodzą.

## IV

Wspomnieliśmy już o tém, że z r. 1584 pochodzą „Żale nagrobne“ niewiedzieć dlaczego tak mało cenione. Faleński <sup>1)</sup> nazywa je najslabszém z dzieł poety, a Kraszewski mówi, że wiersz „nie tak łatwy i gładki jak w „Worku Judaszowym“; chyba ani Worka, ani Żalów nie czytał: słuszne jest to, co mówi, że wywierają o wiele słabsze wrażenie od Kochanowskiego Trenów, bo tamte wypłynęły z ojcowskiego, żalem spełnionego serca, a te na zimno, jako poezję tylko napisał Klonowicz; ale niesprawiedliwe jest twierdzenie, jakoby już dlatego nie miały być nic warte. Naprzód, jeszcze to kwestya, czy Klonowicz Kochanowskiego osobiście nie znał; że był świadkiem jego śmierci, to chyba fakt, a cały ton „Żalów“, prawda, że przesadzony i retoryczny, ale na nieszczerosc nie wygląda. Właśnie trzeba by te „Żale“ rozważyć „jako poezya“ i dowiedzieć się kto ma słusznosc: czy p. Faleński, utrzymując, że są tylko przekładem z greckiego, czy też Kraszewski, który zapewnia, że są tylko prostém naśladowaniem Trenów: prawdopodobnie ani jeden, ani drugi. — Sam Klonowicz na tytule „Żalów“ przyznaje, że napisał je „naksztalt Idylion Teokrytowego, które ma napis „Epitafios Bionos“. Mierzyński twierdzi, że się Klonowicz pomylił, że autorem tego „Epitafios“ jest nie Teokryt, ale Moschos: z równą słusznoscią taki sam zarzut można zrobić panu Mierzyńskiemu. Filologowie (Ahrens np.) przyznają, że niewiadomo, kto te „Żale“ napisał: może Teokryt, a może Moschos <sup>2)</sup>. Jest to jeden poemat o 133 wierszach a 16 nieregularnych strofach, zakończonych powtarzającym się zawsze wierszem: „ἀρχετε Σικελικαὶ τῷ πένεθεος ἀρχετε Μοῦσαι“.

Wiele tam rzeczy w środku brakuje, sens nieraz się zatracca: a to co jest — nie bardzo ciekawe. Patos w najwyższym stopniu, przeładowanie sztuczną mitologią, w której podania sam poeta przestał już wierzyć; robią ten poemat wysoce do czytania nieprzyjemnym. Trafiają się gdzie niegdzie ładne zwroty, ładne

<sup>1)</sup> Studium o Trenach i ich naśladowcach. Bibl. Warsz. 1866, I.

<sup>2)</sup> Prawda że częścię przypisują je temu drugiemu.

wiersze, ładne nieraz nawet ustępy: ale całość jest słaba, a miejscami śmieszna.— Co mogło spowodować Klonowicza do wybrania sobie takiego wzoru? Prawdopodobnie podobieństwo sytuacji.— Umiera w Lublinie poeta sławny, osobisty, jak można przypuszczać Klonowicza znajomy: zachęcają go przyjaciele, aby zgon ten wierszami uczcił. Jemu jakoś strach wielki jednak mierzyć się z owym wdzięcznym autorem „Trenów“; mimowolnie czuje, że gdyby własnej inwencji się poradził, niezawodnie popadłby w słabe naśladowanie tych cudownych „Trenów“. A przypomina sobie, że w Akademii czytał już takie „Żale“, przez jednego poe-  
 ta na śmierć drugiego napisane, a napisane po grecku, mało więc ogółowi znane. Nie są one tak bardzo piękne: ale zawsze przydałby się ich przekład; przekład możnaby w tym razie naśladowaniem zastąpić, a jeżeli już na tytule się przyzna, że to naśladowanie, nikt z tego zarzutu robić nie będzie. A pozmieniać trzeba będzie i dużo, bo przecież Grecya i Polska, Bion i Kochanowski— to co innego. I w ten sposób prawdopodobnie powstały „Żale nagrobne“. To co jest w nich złego: a więc ta mitologja, (która w miarę możeby i nie szkodziła, ale tak jak jest — jest nieznośna), ten miejscami ton napuszony i deklamacyjny, ten bombast żalu:— to wszystko trzeba wziąć na karb Teokryta, czy Moscha. Ale to, co jest w nich dobrego — to trzeba przyznać polskiemu poecie. Choćby sam początek — niby podobny do greckiego — a przecież inny. Tam odrazu zwraca się poeta do rzek, gajów i łąk, każąc im oplakiwać śmierć Biona. — Klonowicz zadał sobie rozumne pytanie, dlaczego sam nie płacze, tylko innym każe się w ten sposób zastępować i tłómaczy zaraz, że jemu już nie stało „w usciech słów i łez w oczu“; żalem zdjęty unysł już się spracował; sam nie jest w stanie wypowiedzieć, jak cierpi. Jeżeli tu jest przesada, to wynikała z oryginału: a to wytłómaczenie bądź co bądź jest konieczne i ładne; ten obraz zaś: „narzekanie strawiło słów bogate sprzęty“ jest niezwyčajnie piękny. A tam gdzie przekład niezmiennie za oryginałem idzie, robi Klonowicz dodatki lub zmiany, jakie mu się wydały konieczne. Moschos nie mówi naprzykład nic o „wiekopamiętnych dębach i choinowych borach“, a te wiersze:

„....bo co tam u siebie

Osobliwego mają bogowie na niebie,

O to zmysłem człowieczym darmo się i kusić.“

cisną się Klonowiczowi mimowiednie na pióro, kiedy rozmyśla, dla czego tak wczesnie śmierć zabrała z sobą tego, co tak pięknie śpiewał. Nie mógł sobie trafniejszej dać odpowiedzi nad tę, jaką w jego własnych pismach wyczytał. Jako dowód, że tam, gdzie jest przekład, ten przekład jest piękny, niech służy za dowód końcowe wiersze „Żalu“ pierwszego:

„Już się z niego nie cieszą niebotyczne skały,  
 Już się lutni nie będą lasy odzywały,  
 Już niema i żaloszna, już nie tak pozorna,  
 W górnych cieniach osiadła Echo głosotworna“.

W drugim żalu, gdzie jest mowa o łabędziach, prawie wszystko, co jest ładne, jest Klonowicza. Grecki poeta każe im tylko śpiewać żale na cześć zmarłego, a w nawiasie dodaje uwagę (zapewne dla tego, żeby się czytelnik temu żądaniu nie zdziwił): prawda, że one nie śpiewają, ani kiedy są same, ani kiedy są razem w gromadzie; dopiero u Plutosa nad rzeką Letą wydają głos bardzo piękny. Zastanawia go to, że postępują zupełnie inaczej niż woły, kiedy idą na śmierć. Spostrzeżenie trafne i bystre. Klonowicz z zastrzeżeniem wiadomość o tym śpiewackim talencie przyjmuje; powiada o tém, że to widać tylko Strymońskie łabędzie taki poetycki mają obyczaj i przechodzi do porównania takiego łabędzia z tym poetą, którego ma oplakiwać:

Przed zejściem z tego ludzkiego zawodu  
 Dowcipu swego uciezszego płodu  
 Zostawił dosyć — lecz kiedy omdlewał  
 Najwdzięczniej śpiewał.

W żalu trzecim znowu to nie Moschos Biona nazwał: „nieprzebraném morzem słów i rzeczy osobnych“; nie Moschos, że Kochanowskiego ze wszystkich bóstw najwięcej oplakuje Satyr, którego nasi Polacy wygnali, rumując lasy i rozkopując pola; nie Moschos wreszcie wyraża żal, że:

„... nie tak nam jako tobie Echo odpowiada  
 Gdy pod lasy mownemi śpiewać się kusimy:

Dworna Echo przedrzeźnia, że milczeć musimy“.

Żal czwarty z początku nie jest rzeczywiście niczém inném, jak tłómaczeniem, — ale tłómaczeniem, powtarzamy, bardzo piękném: melodia wiersza jest miejscami doskonała, np.

Nie tak Pandyonowa jaskółka okrutnie  
 Lamentuje pod dymną strzechą; nie tak smutnie  
 Tereus etc...

Ale koniec jest inny, bo kiedy po grecku po tych wielu porównaniach: „nie tak w morskich falach jęczał delfin, nie tak płakał po skałach orzeł, nie tak zimorodek morski wzdychał na falach etc“. Konkluzja jest taka: „jak oplakują zmarłego Biona słowiki wszystkie i jaskółki, które niegdyś cieszył, które niegdyś śpiewać wyuczył“ — Klonowicz kończy: — „jako my ciebie żalem szczodrym oblewamy i nie przestaniemy cię żałować, dopóki cię czytać będziemy, o poeto boski!“

W ogóle — w dalszym ciągu żale robią wrażenie warjacy na temat, dostarczony przez starożytnego poetę: kiedy ten na przykład dosyć niezgrabnie wspomina, że Meletes w krótkim



przeciągu czasu dwa poniósł ciosy: niedawno! umarł Homer, teraz Bion: Klonowicz robi z tego rodzaj zestawienia między Homerem a Kochanowskim. Homer opisywał jak Grekami pod Troją rządził Agamemnon i jak długo błędził Ulisses, a poeta polski nie bawił się brzydkim bałwochwalstwem, jeno z królem i prorokiem śpiewał: dobroć Boga Zastępów, brząkając w arfę dziesięcinitną... Ale zresztą w innych pismach swoich dorównał Klonowicz wszystkim greckim i łacińskim poetom, z każdego z nich, jest w nim cokolwiek: acz rzadko, ale też dotknie jako Juwenalis. Są to ustępy bardzo dla Klonowicza charakterystyczne: naprzód, to brzydkie bałwochwalstwo, które mu się w poezji niepodoba, jest jego cechą znamionną; a potem, to podobieństwo ze wszystkimi poetami klasycznymi, to niejako niemy wyrzut, że Kochanowski zanadto był klasycznym, zamało patrzył na swój kraj własny, zamało wyrzucił mu (jak Juwenalis) jego wady i błędy. Kto wie nawet, czy to naśladowanie klasycznego Moscha, nie było wywołane tém przekonaniem, że poetę, który żył głównie myślą w greckim i rzymskim świecie trzeba uczyć wierszami, takim samym natchnionemi duchem. Nie może tylko Klonowicz w tym obeym dla siebie stroju długo wytrzymać—wyrwują mu się ciągle jakieś dźwięki rodzinne: i te właśnie najlepiej mu się udają.

W żalu siódmym po wyliczeniu wszystkich miast (przez pół polskich, przez pół greckich, przez pół włoskich), które płaczą nad zmarłym, ciekawém jest to, że jako jedyne następcę uważa... Andrzeja Trzycieskiego: jest on drugim poetą boskim i przez to, że on żyje i objąć może lutnię po wielkim poecie—przez to tylko Kochanowski do końca jeszcze nie umarł. „My dwaj, Trzycieski i ja z obowiązku rymowym płaczem cię czcimy: więc wzmianka, jakoby Trzycieski na śmierć Kochanowskiego Treny pisał.<sup>1)</sup> —Ale Trzycieski tylko potrafi cię godnie zastąpić, bo ja:

- „Kiedy się nad prosty gmin tu niebu na chwilę  
Do Febusa wychylę,  
„Wnet frasunek zazdrościwy jakiś wróg przytoczy,  
Który mnie zaś w gmin tłoczy...  
„Trzeba bowiem animuszu niezamarszczonego  
Do wiersza uczonego.  
„Gdyby się gdzie nad rzeczką włóka mogła dostać,  
Mogłoby się co sprostać.

Jest to wyraźna przymówka: widocznie wtedy już opat Wereszczyński, sam niby to trochę poeta (w dziesięć lat później bro-

<sup>1)</sup> Turowski, opisując wydanie Żalów z r. 1585, tak pisze: „W wydaniu tém po skończeniu Żalów zamkniętych napisem: Koniec tych Żalów, na nowej

szurę polityczną wierszem napisał)—a w każdym razie poetyczny umysł,—opiekował się Klonowiczem: on to może zachęcił go do napisania owych Żalów; a może to od tych Czernych <sup>1)</sup>, którym żale zadedykował spodziewał się wsparcia poeta: wiadomo jednak, że od nich go nie dostał. Wereszczyński stał się jego mecenasem i gorące życzenia poety spełnił.

Pięknością formy wyróżnia się żal XI; oryginalnością żal XII nie naśladowany, ani tłómaczony. Są to przepisy dla rzeźbiarza, jak ma robić grób dla Kochanowskiego: więc koniecznie marmurowy, a trzebaby co pięknego wyrzeźbić wewnątrz; a lepiej jeszcze jaki malowany obraz tam przybić, tylko pamiętajże, mistrzu, że przedewszystkiem twarz powinna być tak jak żywa, tak, jakby przemówić miała. Ale na to potrzeba, żeby ten rzeźbiarz był poetą — inaczej nie odda tego natchnienia, tego ognia i tych płomieni, jakie Febus wzbudza na twarzy poety... Słychać, że Niemcy jakiś pomnik stawiać mu mają: nie każdy jednak Niemiec jest „Durerusem“... ale to tak już u nas się zawsze dzieje, że cudzoziemiec pierwsze ma miejsce. To nie żadna sztuka mieszać cynober czerwony i błękitny lazur, łatwo mieszać biały blejwas: trafi w to i Mazur— a trafi tem więcej, że pojmie i zrozumie tego poetę, który jest jego rodakiem.—Żaden z niemieckich poetów nie dorówna Janowi, choćby najpiękniejszymi słowami pisał:—w słowa lada kto bogaty, o samą rzecz idzie.“

„Skandować Niemcom smycznym jest rzecz przyzwoita,

„Ale się oleju w setnym wierszu nie dopyta,

„Bo język przyrodzony narodu tamtego,

„Jakby kto pudło zrzucił z wschodu wysokiego.“

Apelles powinien Jana malować, Praxyteles wywieść go z marmuru, a Fidyasz ulać ze złota, Skopas rysować: „będzie robotą robota.“ Żale nagrobne na niego pisać sam Homer powi-

stronicy czytamy jeszcze: „Threnodia in funere nobilissimi viri D. Johannis Kochanowii, Tribunii Sandom. poetae poloni excellentissimi — Andreas Tricesiusu, pod czém następuje 9 zwrotek łacińskich ośmiowierszowych, a pod spodem data: Lublini anno 1584 die 20 Augusti. Następuje — Eiusdem autoris sześć wierszy łacińskich także na śmierć Kochanowskiego: pod nimi: Lublini, die 24 Aug. anno eodem ut supra. Z tego, mimo to, co pisze Sobieszczański w Enc. p. t. 25. str. 667, pokazuje się, że Trzycieski w r. 1584 żył jeszcze. List Płazy do Kromera, w którym donosi pod 16 maja 1583, że „pan Andrzej Trzycieski stary umarł przecie“ jest dosyć jasny. Wyrazy: „stary“ i „przecie“ wyraźnie wskazują, że tu jest mowa chyba o ojcu, który miałby już wtedy przeszło dziewięćdziesiąt lat.

<sup>1)</sup> Falszywa legenda o jakimś poecie Czernym, o którym ma wspominać Klonowicz w przypisaniu, powstała z niezrozumienia dość niejasnej stylizacji.

nien:—porwałem się więc, powiada Klonowicz, z motyką na słońce, tociem się żalował, wstępując w strzemiona Teokrytowe: i tak, te żale nie wiele są warte; przetoż, o szczęśliwa duszo poety, jeżeli nie chcesz przyjąć odemnie z wdzięcznością tych wierszy,—to chyba sam będziesz musiał wstać z grobu i sam na swój zgon godne Treny napisać... Ale ty już płakać nie będziesz, bo już jesteś w liczbie nieśmiertelnych duchów, bo nadzieje obróciły się już dla ciebie w skutek i żaden wiatr ich już nie rozwieje... Żal XIII wreszcie jest prośbą, żeby na Sarmackiem niebie nowa zapłonęła gwiazda, któraby na wieczną pamiątkę Kochanowskiego jego nazwisko przez wieki nosiła <sup>4)</sup>.

Z tego widać, jaka to niezmierna szkoda, że Klonowicz sam własnym nie zaufał siłom, że poszedł śladem wzoru bardzo ułomnego: nie uratował się przez to zupełnie, owszem zgubił. Żale, tak jak są, są dziwną mieszaniną mitologicznej napuszystości z polską prostotą, nie podniosłą wprawdzie talentem, ale ujmującą jakimś naturalnym wdziękiem, który się zatracca zupełnie w sąsiedztwie z temi Galatejami, Orfeuszami i Hamadryjadami. To, co rzeczywiście może w „Epitafios Bionos“ jest ładne, to pod ciężką dosyć ręką autora Roxolanii niknie zupełnie; a to, co stanowi właśnie przyjemną cechę jego poezyi, ta rodzimosc, niknie przez zetknięcie się z pierwiastkiem obcym.—Jeszcze rzecz jedną, stanowiącą nieodłączną cechę wszystkich późniejszych poematów Klonowicza—niedbałość i niestaranność o formę, zaniedbanie jakby umyślne, widoczny pośpiech i roztargnienie przy zawiązywaniu końców wierszom“, jak się sam wyraża. Stąd zaś pochodzi, że obok bardzo pięknych wierszy są nieraz tak kulawe, że aż wstyd bierze i że się nie chce wierzyć, żeby to jeden i ten sam poeta miał je pisać. Bardzo łatwo to poprawić, a wtedy zupełnie inaczej wygląda cała poezya. Mówimy dlatego o tém przy żalach, bo im to zaniedbanie najwięcej szkodzi i na nich najłatwiej sprawdzić tę przepaść, jaka jest między dwoma po sobie następującymi wierszami. Znać u Klonowicza tę łatwość wierszowania, o której już mówi Starowolski z przesadą (powiada jakoby Klonowicz miał rozmawiać wierszami o najpotoczniejszych rzeczach); znać, że on tego, co pisał, nie poprawiał, nie przerabiał, tylko tak, jak z pod pióra wyszło, na światło dzienne oddawał. Może nie miał czasu, może nie miał „animuszu niezamarszczonego“;—jakiekolwiek były

<sup>4)</sup> Turowski powiada, że w pierwszym wydaniu po Trenody Trzycieskiego idzie wiersz polski: Echo. Rozmówcy: Batrach, poeta nie doszły, którego zmianę czyni w témże Idyllion Teocritus, któremu odpowiada Echo t. j. dźwięk leśny, ów, co się wołającemu w lesie, a zwłaszcza wieczór albo po rosie, odzywa. Batrach ów opowiada tutaj Echu o śmierci Kochanowskiego—i utrzymuje, że on miejsce jego zastąpi. Echo mu przedrzeźnia. Wiersz lichy, dowiep płaski, karczemny czasami.

tęgo przyczyny, jest to rzecz wysoce całej poezji Klonowicza szkoda. Odnosi się jednak ta uwaga tylko do tego, co Klonowicz napisał po polsku bo wiersz łaciński jest bardzo starannie wykończony i wygładzony, —nawet nieraz za piękny na przedmiot, jaki sobie wziął poeta. (Porówn. niektóre miejsca z *Victorii*). Prawie bez zarzutu jest wiersz Roxolani: równie jak i poematu „*Gorais*“, ogłoszonego z rękopismu dopiero w roku 1875. Leżał on do tego czasu w bibliotece Ordynacyi Zamojskich; wygrzebał go dopiero stamtąd dr. Wład. Okęcki.

Jest to poemat panegiryczny na cześć rodu Gorajskich, złożony z XVIII pieśni czy ustępów; po każdej z nich następuje prozaiiczny komentarz, coś w tym rodzaju, co komentarze Danta przy „*Nowém Życiu*“. Na początku jest dedykacja, w której poeta, rozwijając myśl Pindara, że kto ma zdrowy umysł, zadowolenie z tego, co posiada i dobrą u innych sławę — równa się szczęściem nieśmiertelnym Bogom; stosuje ją do Gorajskich, którym swój poemat oddaje. Przy końcu zapowiada, że „*spisując tę genealogią*“ użył prostego i łatwego stylu, ażeby czytelnik zrażony, trudnościami, nie zaniedbał przypadkiem przyjrzeć się wielkim czynom wielkich ludzi i korzystnej ztąd wyciągnąć nauki; oraz przepasza za tej pracy nieudolność, tłumacząc, że pisał ją wśród przykrości, jakie za sobą pociąga miejski urząd, wśród domowych trosk i kłopotów, wśród zmartwień, których przyczyną jest ludzka a zawiść (?). Mimo tego jednak robota ta nie jest nieudolną wcale: owszem trzeba ją do najlepszych prac Klonowicza zaliczyć. Oczywiście znaczenia wielkiego mieć nie może: nie przeznaczona do druku, sporządzona na wyraźne zapewne życzenie do prywatnego Gorajskich użytku, panegiryk zresztą: „*Goraida*“, trudno żeby zaważyła na szali ogólnego o działalności poetycznej Klonowicza sądu. W każdym razie przyczynia kilka szczegółów do charakterystyki jego talentu.

Przedewszystkiem zaznaczyć trzeba, że jest to poemat (jedynie z dzieł Klonowicza) pisany zupełnie w duchu i stylem klasycznym: zaczyna się od wezwania Muz według wszelkich klasycznych reguł; w układzie, w stylu (rzeczywiście bardzo prostym i pięknym) trzyma się wielkich wzorów, a trzyma się z niepospolitym talentem i zręcznością. Niema w nim nigdzie od początku do samego końca ani jednego ustępu prozaiicznego: być może, że trzeba to zawdzięczać owym komentarzom, które są jak gdyby schronieniem dla owych niepoetycznych dygresyj, choć także pisane są bardzo ładnie i bardzo zajmująco. Pierwszy ustęp poświęcony jest całemu wezwaniu Muz i określeniu tematu: wyraża w nim poeta żal, że najdawniejsze rodu początki, aczkolwiek niewątpliwie świetne, nie zostały potomności przekazane; a o życiu i czynach późniejszych skąpe mamy wiadomości; nieznałazł się w Polsce poeta żaden widać, kiedy takich bohaterów, godnych

Homera i Wergiljusza nie sławił. On sam, Klonowicz, jeżeli takiego zadania się podejmuje, to tylko z obawy, żeby potomność nie była pozbawiona zupełnie wiadomości o tych, którzy męstwem Achillesowi, a pobożnością Eneaszowi byli podobni. Z komentarza (declaratio nazywa go Klonowicz) dowiadujemy się, że pierwszym, który dzieje rodu Gorajskich zebrał i zestawiał był „Paulus Troyanowski de Troaynowicze, eques Polonus et omnis Polonicae vetustatis consultissimus“ jemu to poeta wiadomości swoje pod tym względem zawdzięcza. W ustępie drugim jest opisanie rodzinnego miejsca Gorajskich, ziemi Lubelskiej, opisanie bardzo piękne, podobne, ale w niczém nie ustępujące najpiękniejszym i najbardziej malowniczym ustępom z Roxolanii. Pierwszym, który rozpoczyna (w ustępie trzecim) szereg postaci jest Krystyn z Goraja, żyjący za czasów Bolesława Wstydlwego. Cały ten ustęp jest odrębnym poemacikiem i przyznać trzeba prawdziwą perłą w Klonowicza poezyi. Zaczyna się od zapewnienia: „że chociaż niewdzięczna potomność zaciera często wielkie przykłady przeszłości, przyjdzie przecież czas, kiedy sam Bóg sławę ich aż pod gwiazdy podniesie i ich pamiątkę jakoby na djamentowej wyrzeje skale. Dzisiaj imiona i czyny pierwszych Gorajskich zakryte ciemnością nierozświeconą, ale nawet niszcząca ręka czasu niezdolała zniszczyć śladów, jakie pozostawił po sobie w dziejach Polski Krystyn Gorajski w tych czasach strasznych, kiedy Scytów tłum dziki w Sarmackie runął kraje, pożogą zniszczył wsie i miasta, stratował żyzne pola, złotym chwiejące się kłosem, krew i zgliszcza zostawiając za sobą. Nogaj i Telebuga, srodzy wodzowie, Euxyńskie morze przepłynawszy, na czele całych tłumów, dostali się w samo serce Sarmacyi i tu połączyli się z olbrzymim wojskiem, które z przeciwniej strony na naszą zgubę ciągnęło“. „Jak kiedy dwie czasem chmury na błękitnie niebios wprost przeciwnym gnane wiatrem razem w jedną się złączą: czarną, złowrogą, w ulewę brzemienną: — grzmot słychać straszny, krwawe błyskawice prują ponury horyzont, a stuletnie dęby się wałą i pokotem kładzie się zboże: plon, nadzieja i majątek rolnika; tak straszne były skutki tego połączenia dzikich hord tatarskich z wojskami Rusinów, którzy — o! hańbo! bratobójczą dłonią cios nam srogi zadali. Wbrew Boskim i ludzkim prawom Lew, Roman i Daniel stargali związki przymierza i z poganami przeciwko Chrześcijanom się połączyli. Uderza na nas ta przemoc liczebna, zwycięża i z ziemią równa kraj cały, nie mając względu ani na wiek, ani na płeć. Nie dosyć, że walczą siłą brutalną; przენiewierczym także podstępem posługując się, ludzłą nadzieją pokoju Piotra z Krem-py i zajmują Sandomierz, w którym (zgroza pomyśleć) jakie wyprawiają rzeczy“. Co się tam dzieje, jakie rzezie, jakie gwałty, jakie potoki krwi spływały z Sandomierskich wałów i zabarwiały na purpurowo fale Wisły, opisuje Klonowicz z wielką plastyką

i siłą. Tymczasem kiedy nieprzyjaciel tak dokazuje w mieście, Gorajski w Kraśnickim zamku przygotowywał się do wytrwania oblężenia i przyjmował wszystkich, którzy przed pogromem ująć zdołali. Do Boga się modli, wały obronne sypie i smołę w beczkach rozpaloną przygotowuje; Tatarzy podchodzą, zaczyna się walka, w której sam Gorajski własną ręką wodza Tatarów zabija. powstaje między nimi popłoch; w nieładzie i z wielką stratą cofają się z przed murów Kraśnika. W ten to sposób ocalił Gorajski swoją ojczyznę, w ten sposób uratował życie milionom ludzi, w ten sposób ocalił cześć niewiast i całe mienie rolników. Wy szczególnie mieszkańcy brzegów Bystrzycy, winniście wdzięczność niezatartą żywić dla tego bohatera, wy, którzy pługiem orzebie na sąsiednich Lublinowi pagórkach: gdyby nie on, kto wie, czy żylibyście teraz spokojni i szczęśliwi. Nigdy nie zawiele nagród za takie czyny: wynagrodzili go polscy królowie wspaniałemi darami, wynagrodzi go lepiej potomność przez sławę, która nie zaginie z biegiem czasów. Jest to wszystko napisane tak ładnie, że znając stopień uzdolnienia Klonowicza, po innych jego pismach, nie wierzyłoby się nigdy, żeby to jego pióro mogło stworzyć podobnie świetne pod względem artystycznym opowiadanie. W ogóle, rzadko który panegiryk jest napisany tak zajmująco pod każdym względem jak ten: postacie, o których wspomnieć z obowiązku musi, a które nie odznaczały się niczém zbywa zaledwie kilkoma wierszami, a przy innych umie tak swój przedmiot urozmaicić, tak ładnie go przedstawić, że od początku do końca nic temu poematowi zarzucić nie można, chyba to, że jest panegirykiem; niepodobna sobie nawet wyobrazić, żeby taka rzecz mogła być napisana lepiej i ładniej. Kiedy naprzykład ma mówić o Dymitrze pierwszym, który nie był niczém inném, jak tylko podskarbnym królewskim i kontrolerem żup solnych, podaje opis wielickich kopalni w klasycznym stylu, ale nie pozbawiony rzeczywistych piękności. Przy drugim Dymitrze słyszymy opowiadanie o miłości Jadwigi i Wilhelma, chociaż zresztą i sam ten Dymitr, mający trzy córki piękne jak trzy gracy, ponury jednak i smutny, tęskniący wiecznie za męskim potomkiem, jest postacią przepysznie scharakteryzowaną, równie jak i Prokop, mający kilku synów, z których najwięcej kocha najmłodszego Zygmunta, kiedy go traci, a mając później córkę, na pamiątkę zmarłego nadaje jej niezwykle imię Zygmunty — sportretowany krótko i wyraźnie. Kiedy przy Janie Gorajskim mówi o wojnach Batorego z Moskwą, powiada poeta, że gdyby jaki Homer chciał opisywać walki, po polskiej stronie znalazłby samych Hektorów i Achillesów. Sam panegiryk właściwy zaczyna się dopiero przy Adamie, ale wcale nie jest napuszony i szumny — umięający owszem zachować miarę w sposobie pochwał, jeżeli nie w ich ilości.

Uderzać każdego musi, że Klonowicz tak potrafił wytrwać w to- nie szczerze klassycznym i to klassycznym w najlepszym guście. Rzecz dziwna, dlaczego takim nie potrafił być w Żalach, choć zda- wało się, że takim być się starał; może tam przeszkadzał mu wiersz polski, który według jego punktu widzenia, zmuszał go do zachowania cech odrębnych i rodzimych... Może... A w każdym razie zadziwia jeszcze więcej ta staranność, z jaką „Goraida“ jest opracowana: nie jest tak wyrzucona z pod pióra, jakieśmy to o pol- skich poematach zaznaczyli. „Goraida,“ po roku 1587 (według do- wodzeń doktora Okęckiego), powstała, jest faktem prawie zadzi- wiającym.

*(Dok. nastąpi).*

# SEBASTYAN FABIAN KLONOWICZ.

JEGO STANOWISKO W LITERATURZE POLSKIEJ XVI WIEKU.

Studjum historyczno-literackie

PRZEZ

F. K. Ehrenberga.

---

V \*).

Pierwszy ślad stosunków Klonowicza z Zamoyskim spotykam już w roku 1586; wtedy to bowiem, szukając wszelkich sposobów uniknięcia procesów z teściową, oświadcza poeta sądowi miejskiemu, że przed obliczem jego nie stanie, ponieważ jest klientem Jaśnie Oświeconego Jana Zamoyskiego, kanclerza koronnego i Mikołaja Firleja z Dąbrowicy, kasztelana rawskiego, i jako taki ich wyłącznej jurysdykcji podlega. Zdaje się jednak, że oświadczenie to nienawiele się przydało: a niema zupełnie śladów, jakiego to rodzaju mogła być owa klientela. O stosunku bliższym dowiadujemy się dopiero pod rokiem 1589.

Niema prawie pisarza owjej epoki, w któregooby życiu Zamoyski, ten wielki hetman i wielki człowiek, ważnej nie odegrał roli. Popierał i protegował wszystkich, którzy talentem i rozumem jakkolwiek się odznaczyli. Gdzie się z Klonowiczem mogli poznać? Może w Zamościu, który się budował wtedy, kiedy Klonowicz tamtędy przejeżdżał, może później: dość, że w 1589 pisze Zamoyski do niego listy z napisem: „Memu miłemu i łaskawemu przyjacielowi“ i mianuje go superintendentem Zamoyskiej Aka-

---

\*) Dokończenie zob. zesz za m. listopad 1889.



demii. Słyszał widocznie o kłopotach Klonowicza, który wprowadzie już dotychczas Wereszczyńskiego posiadał, — ale funduszków pewnie nie miał do zagospodarowania się i przyszedł mu szlachetnie z pomocą. — Akademia Zamoyska (przypuszczają jedni) założona była w celu przeciwdziałania propagandzie jezuickiej, albo na to (jak inni myślą), żeby mogła zastąpić chyłącą się do upadku Akademią Krakowską: w każdym razie, tak czy owak, przedsięwzięcie się nie udało, a główną tego przyczyną jest (jak mniema Łukaszewicz) — oprócz tego, że nowa szkoła w złém była założona miejscu, i to także, że profesorowie, których sobie Zamoyski dobrał głównie z pomiędzy Akademików, nie przeciągali blaskiem (młodych po większej części) imion swoich.

Obowiązki Klonowicza były następujące: „czytać autory i lekcye, jako jego Mość naznaczyć i rozkazać będzie raczył, do tego tę nową szkołę w staraniu swém i dozorze mieć, także starać się o to, aby deklamacye i inne egzercycye w naukach w tejże szkole na każdy tydzień działy się“. Za to otrzymywać miał Klonowicz sto szesnastu złotych rocznie, oprócz domu i roli do niego przydanej w Zamościu. — Szkoła została otworzona — jak z tych dokumentów widać — już w 1590, tam też Klonowicz wtedy się udał, dom Wiślicki wydzierżawiając niejakiemu Jakóbowi Kraweowi. Urząd swój pisarski zapewne złożył <sup>1)</sup> i razem z żoną do Zamościa się przeniósł. Tu musiał poznać i zawrzeć bliższe stosunki z Szymonowiczem: w bibliotece Zamoyskich przechował się egzemplarz „Victorii Deorum“ (wyd. 1595) ofiarowany w własnoręczną dedykacją Szymonowiczowi, jak o tém świadczy pan Przyborowski w rozprawie o „Roku śmierci“.

W tymże samym roku (1590) wyszła z druku broszura zatytułowana: „Equitis Poloni in Jesuitas actio prima“. Długi czas nie znano, ani nawet nie domyślano się autora tego pamfletu, który ogromnie dużo narobił hałasu. Dopiero odkryte rękopisy księdza Wielewickiego wskazały jako autora Seb. Klonowicza: a świadectwo to jest tak poważne i podane w formie tak żadnej wątpliwości nie pozostawiającej, że wypada je za pewne przyjąć, zwłaszcza kiedy nikt mu dotychczas nie zaprzeczył. Nasuwa się jednak pytanie, dlaczego Klonowicz, który szlachcicem nie był, przybrał sobie tego equesa pseudonym. Wytłomaczyć da się to tylko chęcią oddalenia od siebie wszelkich podejrzeń i nadania większej wagi samej pisemka treści. Nie potrzeba było na to

<sup>1)</sup> Czy oprócz tego piastował jaki inny urząd, nie chce wierzyć pan Mierzynski. Wszelakoż na wydanym w 1587 przekładzie reguły ks. Wereszczyńskiego podpisał się Klonowicz „causarum iudaicarum iudex“.

wieku XVI, żeby nie brać w rachubę tego, co pochodziło od ludzi nieuprzywilejowanego stanu: jeszcze Krasicki pokazuje nam takich mnichów, którzy, oburzeni wymierzonym przeciw sobie pamphletem, wydają wyrok:

„Jeśli plebeusz, obić bez litości,

Jeżeli szlachcic, pozwać Jegomości“...

czuł może to Klonowicz i dla tego podszął się pod to fałszywe szlachectwo <sup>1)</sup>. — Co mogło go spowodować do przedsięwzięcia téj pracy? Był to czas roznamiętnionego sporu między chylącą się do upadku Akademią, a niedawno do Polski sprowadzonym zakonem Jezuitów, o monopol nauczania, sporu, któremu, niewiadomo dla czego, wszyscy prawie historycy literatury przypisują znaczenie doniosłości dziejowej, zaznaczając od niego początek epoki upadku piśmiennictwa. Jeśli jakie ta kłótnia mogła za sobą pociągnąć skutki, to jedynie o znaczeniu dodatniem: — scholastykizm zastarzały, jaki bądź co bądź w Akademii dotychczas panował, doznał silnego wstrząśnienia, — wstrząśnienia, które przyspieszyło kompletny upadek Akademii. Ale czy ten upadek sam przez się nie byłby, prędzej czy później, nastąpił? Prawda, że Jezuickie szkoły nie przyniosły nic lepszego, że wychowanie zostawione w ręku tego zakonu spaczyło i skrzywiło wiele umysłów. nie lepiejby jednak było, (a zapewne gorzej o wiele) gdyby nie było nikogo, coby tém wychowaniem pokierować mógł i umiał. Szkoły Jezuickie, mimo wielu wad zasadniczych w swoim ustroju, wydawały także ludzi zacnych i dzielnych: a że literatura nie zakwitnęła, o toż trudno obwiniać tych szkół kierowników. Talentów stworzyć niepodobna. Mówią dużo i piszą, że skutkiem złych szkół i fałszywego ich kierunku Jezuiti spowodowali literatury upadek. Wymagałoby to sprawdzenia i zmodyfikowania. Za wiele się zwykle naśmiewamy z głupoty i ciemnoty w wieku XVII, za wiele zachwycamy się rozkwitem i oświeceniem wieku poprzedzającego. Nazwano go wiekiem „złotym“ poezyi, a wszystko co się o téj poezyi pochlebnego i zaszczytnego w tym czasie da powiedzieć, odnosi się do Kochanowskiego. Mamy sposobność przyjrzyć się poecie, który zaraz drugie po autorze „Odprawy posłów“ zajmuje miejsce: przejrzelśmy już niektóre, wkrótce przejrzymy jeszcze resztę objawów artystycznej jego działalności, i z pewnością łatwo nam się przyjdzie przekonać, że w XVII wieku, nie tylko równych, ale i z pewnością lepszych dużo znajdzie się poematów i poetów. Jeden znowu talent (i to zagranicą wykształcony) prawda, że świetny i znakomity, nie może być dowodem rozkwitu poezyi w całej epoce: poezya Kocha-

<sup>1)</sup> Podejrzewa już o to samo autora Akeyi odpierający ją ze strony Jezuitów Reszka.

nowskiego jest objawem odosobnionym, nie mającym sobie podobnych, jest skutkiem genialnej indywidualności jednego człowieka — a nie jest bynajmniej typową przedstawicielką artystycznych i twórczych swojego wieku uzdolnień. Nie Jezuici byli powodem tego, że żaden Kochanowski nie urodził się w wieku XVII, tak samo jak nie Jezuici byli powodem, że Klonowicz znakomitym i genialnym nie stał się poetą, lecz po-za zakres mierności nie wystąpił.

„Actio prima“ z tego względu ważne w naszej literaturze zajmuje miejsce, że jest pierwszym z rzędu piśmem, podnoszącym przeciwko Jezuitom mnóstwo najdziwaczniejszych zarzutów, wyrzucając im dużo występków a nawet zbrodni: przez długie wieki téj akcyi progenitura powtarzała to samo, aż do dziś dnia dają się słyszeć nieraz w dosłowném brzmieniu słowa Klonowicza, broniącego z namiętnością sławy Akademii. W granicach tej obrony jest ta akcyja piękném świadectwem przywiązania alumnów téj Almae Matris, które po latach wielu odzywało się tak gorąco i szczerze. Nie jest zapewne ani wymysłem, ani winą Klonowicza to, co on o Jezuitach mówi: prawdopodobnie powtarza tylko za innymi to, co słyszał i czytał, jest wyrazem téj opinii, jakiej używał zakon w Polsce. Opinia ta da się wytłomaczyć najzupełniéj: on jeden reprezentował żywiól nietolerancyi religijnej w bardzo pod tym względem łagodnej i wyrozumiałéj Polsce, on jeden (przyznać trzeba) rozżarzał waśnie i niesnaski wyznaniowe i ściągał na siebie niechęć tych wszystkich, którzy pod tym względem obojętni, woleli widzieć siły żywotne narodu w inną zwrócone stronę. Do tych należał Klonowicz, patriota gorący, katolik zresztą wyraźny, ale w dość nowiniarskiém żyjący otoczeniu, tolerancyjny w skutek tego, jak tylko może być. Ów warte miał oczy na niedostatki i braki w instytucyach Rzeczypospolitéj, na niebezpieczeństwa, jakie jéj od zewnętrznych zagrażały nieprzyjaciół. Przygotowywał w tym celu polityczne pisma: ale zdawało mu się rzeczą użyteczną i konieczną zwrócić się naprzód przeciwko temu, co miał za wiecznie jątrzący się wrzód i niezagojoną ranę w rdzeniu Rzeczypospolitéj, przeciwko Jezuitom, których za burzycieli pokoju publicznego uważał. Pisana jest ta Akcyja w formie mowy, wypowiedzianej jak gdyby wobec senatu, i zaczyna się wytłomaczeniem, dla czego autor, człowiek stosunkowo młody i nieuczony odważa się podawać rady ludziom szcycącym się takiém doświadczeniem i taką nauką. Ci, którzy na świeczniku Rzeczypospolitéj stoją, których imiona wszystkim znane i z ust do ust są podawane, nie mogą, powiada mówca, wystąpić z tem, z czém ja wystąpić zamierzam, bo ściągnęliby na siebie nienawiść potężnych wrogów. Co innego, taki chudopacholek nikomu z nazwiska ani z pochodzenia nie znany, jemu wszystko ujdzie bezkarnie, bo za małą jest figurą, żeby warto było pom-

stę brać na nim. Oprócz tego zapowiada ów Eques, że to, co mówi—nie od siebie mówi, że polecili mu to zrobić mężowie, quorum in me benevolentiam plurimi semper feci! Ktoby to mógł być? Nie chcemy przypuszczać, żeby w liczbie ich miał się znajdować Zamoyski, u którego wówczas Klonowicz superintendentem szkoły był, — chociaż niżej trochę wyraźna znajduje się wzmianka, o niechęci Zamoyskiego względem Towarzystwa Jezusowego. Najprędzej to będą Gorajscy (z których jeden później w 1607 wyrażnie na sejmie, jako przeciwnik Jezuitów wystąpił). Właściwa rzecz zaczyna się od skargi na oplakane stosunki wewnętrzne, na bezładną i nieprawidłową elekcyą, na zamieszki przez nią wywołane. Ale już kraj zaczyna nabierać siły do odparcia zewnętrznych nieprzyjaciół. Chwalebna to bardzo rzecz i nikt od niej odwozć nie myśli; tylko naprzód domowych, wewnętrznych trzeba uspokoić wrogów; a są nimi przedewszystkiem członkowie Towarzystwa Jezusowego, na zatracenie i zgubę wielu Rzeczypospolitych założonego. Że tak jest, dość powołać się na zdanie tych, którzy tak blisko są związani z zakonem Jezuitów, że chociażby nie byli ludźmi zacnymi—trzebaby im było uwierzyć; a cóż dopiero kiedy są dobrymi i nieskazitelnymi katolikami. Cóż oni mówią? Nie pierwszy raz słyszeć to będziecie, Senatorowie! Słyszeliście na zgromadzeniach licznych i poważnych głosy uczonych i nieposzlakowanych Teologów, którzy dowodzili, że sprowadzono Jezuitów na zagubę i zatracenie wszystkiego, co w spuściznie odebraliśmy świętego po przodkach. Słyszeliście o tém w Lublinie, słyszeliście w Krakowie. Znacie zdania i myśli biskupa krakowskiego (Myszkowskiego), który dowodził wam nieraz, że Jezuiści obalają nawet dogmata św. kościoła katolickiego? Znacie zdanie Jana Zamoyskiego, kanclerza królewskiego i naczelnego wodza wojsk, którego roztropności, spraw wojskowych znajomości, enocie, powadze, szczęściu i dzielności każdy wiek zawsze dziwić się będzie; wszak on twierdził prawdziwie i mądrze (jak zresztą wszystko, co z jego ust wychodzi mądrém jest i prawdziwém), że tym kapłanom miejsce jest przystojne przy ołtarzach i konfesyonałach, że nienależy jednak ścierpieć ich mieszania się w sprawy publiczne. To samo utrzymuje dr. Picus (Stanisław Zawadzki), obywatel krakowski et vir senatorius, którego można nazwać najsubtelniejszym filozofem i najdoskonalszym medykiem, w którego życiu jest obraz starożytnéj cnoty, którego mowa jest przykładem obficie płynącey mądrości. A to samo potwierdzają głosy wdów i sierot, którym przez podstępnie wyludzony testament całe mienie odebrali ci nasi wybawiciele (salvatores). (Podobne miejsce w „Judaszowym Worku“...) A jakież są ich te rzekome zasługi? może to, że szkoły zakładają, do których zewsząd szlachecka zbiega się młodzież? Komedjami jakimiś ściągają ją do siebie, zabawami i igraszkami,—ale nie

nauką, bo ta prawdziwie obrała sobie siedlisko w Akademii, która tyłu i tak znakomitych wydała z siebie mężów, będących do dziś dnia podziwem świata. Czy może się z nimi równać jakikolwiek, choćby najznakomitszy szkół jezuitickich wychowanek. Więc przykładem Lucas (czyżby Górnicki?), mówca, który dowolnie rozrządzał umysłem swoich słuchaczy, Leopolda, którego słuchać było rozkoszą dla duszy a strawą dla rozumu, Hozyusz, Kromer, Orzechowski, Modrzewski i tyłu innych. Pozostały po nich książki uczone, które po wszystkie czasy w ludzkich znajdować się będą rękach i będą świadczyć o znaczeniu i potędze tej Akademii, która ich wychowała. A gdzież jest ta uczoność Jezuitów: kiedy do Lublina Antytrynitarzy i Anabaptystów powołali na dysputę, pieśń tryumfu przed zwycięstwem śpiewali: a kiedy przyszło do rzeczy, zdobyli się tylko na krzyki marne, które nikogo nie przekonały, a Jezuitów na śmieszność naraziły; wreszcie skończyło się na tém, że dyssydentów wrzaskami i groźbami wypędzili, a przywódcę ich Niemojewskiego obili. Postępując w ten sposób narażają na szwank godność kościoła, w obronie którego walczą: wielu z tych, co byli świadkami powyżej opisanych gorących scen, a zaczęli przedtém chwiać się w wierze, do obozu dyssydentów przeszli. W ten sposób nie nawraca się i nie uspokaja, ale drażni i odstręcza; w ten sposób rzuca się płonące zarzewie, które pożarem objąć może całą Rzeczpospolitą. Z tego przykładu pokazują się, że nie tacy to oni uczeni, jak powszechnie głoszą, bo przecież to bardzo łatwo przekonać ludzi mniej od siebie uczonych, jeżeli się ma, zwłaszcza (tak jak oni) słuszność po swojej stronie. Mówią, że świat cały zajęli, a zajęli go obłudą, tém udawaniem świętości, tym układnym i sztucznym wyrazem twarzy, tą zewnętrzną swietnością w obrzędach i strojach, które zwabiają głupców, kobiety i dzieci. Świat cały zajęli;—a Hiszpanią opanowali nasomprzód, krwią ją całą zalali i do ostatecznego doprowadzili upadku; taką to wdzięczność okazali za przyjęcie życzliwe i chętne. A w Niemczech ileż to miast kwitnących przez nich w gruzy runęło, że dosyć samą Antwerpią wymienić. Anglia i Szkocya, niegdyś tak silne;—dziś przez domowe rozterki, przez Jezuitów wzniecone, idą ku zgubie. Oni to na życie królowej Anglii godzą zasadzkami i truciznami. Królowa Szkocyi przez nich śmierć poniosła.—Prawda, że ich kara za to nie minęła. Ten gmach niezgody, który wzniesli, na nich samych się zawalił: padli ofiarą rozruchów, które sami wywołali. Tych pomordowanych w Anglii nasi Jezuiti nazywają męczennikami. Co mi za męczennicy, których o tyle zbrodni przekonano... Na co nam zresztą przykładów zagranicznych: przyjrzyjmy się tylko tym owocom, jakie wydały w Polsce podziemne naszych wybawicieli knowania, przyjrzyjmy się, co się dzieje w Infantach, przypomnijmy sobie zaburzenia w Rydze. Gdyby nie mądrość wielka króla

Stefana, przez nich popadlibyśmy w wojnę ze Szwecją i Danią. A na Litwie, czyż to nie oni trapią i dręczą nieszczęśliwe Wilno: znowu, gdyby nie król Stefan, który oblężenia Pskowa zaniechać przez to musiał, cały kraj przywalony byłby ruinami wojen domowych. W samej stolicy, w samym Krakowie także straszne dzieją się rzeczy, że niejedyn wolałby w lasach, w społeczeństwie dzikich zwierząt życie przepędzać, niż tam, gdzie przez Jezuitkie intrygi, ani mienia, ani tego życia nawet nie jest pewien. Uznana przez króla i senat świątynię dyssydentów zburzyli, ogień podłożyli, który o mało w płomieniach swoich całego nie pochłonął miasta. Mówią, że wtedy między opryszkami, którzy z tych zamęceń korzystali, widziano Jezuitów przebranych; chociaż, z drugiej strony, nie podobna zaprzeczyć, że nietylko oni do tych rozruchów przyczynili się, jak o to Luteranie zanieśli już do senatu skargę. Zawszéc oni w nich główną rolę odgrywali, nie myślę (mówi Eques) bronić zasad wiary odszczepieńców, bo sam jestem, jak to już wyraźnie zaznaczyłem, gorliwym katolikiem; ale chodzi mi o to, żeby w tój naszej Rzeczypospolitej myślenia, mówienia i modlenia się była swoboda, żeby nasza Polska nie stała się podobna do owój przez Jezuitów zachwalanej Hiszpanii, gdzie oni tak wszechwładnie rządzą, że nieszczęśliwi są ci, na których padnie chciwe lub rozpustne oko sługi Jezusa, ci, którym oni zazdroszczą majątku, albo których żon i córek pożądam; wystarczy im wtedy najłżejsze i najmniej uzasadnione podejrzenie kacerstwa, żeby ich zgubić.—A nie trzeba sobie lekceważyć tego, że od Antwerpii do Gdańska sześć dni drogi zaledwie: można stamtąd owoce sprowadzać, można nieznanne dotychczas włoskie i hiszpańskie rozkosze, przez które niewieścieją tylko męskie serca, dla czegożby ztamtąd nie mogły przyjść wojska na pogębienie Rzeczypospolitej. A znalazłyby one silną podpórę w tych zamkach, twierdzach prawdziwych, które sobie pod pozorem klasztorów budują. — Na co im twierdze obronne, przecież to nie zakon rycerski... Tylko wewnętrznie są podobni do owych Krzyżaków, tak strasznój przed niedawnym czasem plagi naszej Rzeczypospolitej. Tak jak tamci krzyż sobie za godło obrali, tak samo niegodnie i bezwstydnie ci pod imię Jezusa się podszywają i do takiej samej nieledwie, co i oni, potęgi dochodzą.—Wszyscy wiedzą jak doskonale, jak po wojskowemu są zorganizowani, wszyscy podziwiają ich niepospolitą szybkość w komunikowaniu się z najodleglejszemi miejscami, a w kilka dni później wiedzą już w Rzymie, co się u nas dzieje. A jakie te potężne i doniosłe są ich wpływy, przez nich zgubne dla Polski przymierza dochodzą do skutku (Possewin), przez nich, za ich poradą i namową całemi państwami rządzą monarchowie. Nie komu innemu, tylko im zawdzięcza swoje istnienie przysłowie: *Quidquid agit mundus, monachus vult esse secundus*. Rzec prosta, że przez to słowo

„monachus“ tylko jezuitów rozumieć należy. Bo któżby naprzykład śmiało to oskarżać spokojnych, Bogu, modlitwie i pracy oddanych Benedyktynów, których wy, święci ojcowie, tak nienawidzicie, którymi tak pogardzacie <sup>1)</sup>. A dla czego? Bo ten ich strój pokorny i skromny jest dla was wyrzutem, bo odbija od waszej zewnętrznej świetności i elegancyi czystością ducha i prawdziwą bogobojnością. A jak oni tę naszą Polskę kochają, jak są do niej przywiązani, kto się chce przekonać, niech przeczyta chociażby tę książeczkę, którą wydał ten ich luminarz, ten gorliwy nasz pacyfikator, Possewin. Jeżeli ją cudzoziemcy czytają i jeżeli wierzą bredniom, które w niej są zawarte,—mają pewnie przekonanie, że u nas ani pobożności, ani rozumu, ani cnoty, ani żadnego porządku niema. I jeszcze po tém wszystkiém mają czoło żalić się na niewdzięczność naszego narodu;—niedosyć im, że bogactwa i majątki mają większe, niż niejeden ze znakomicie zasłużonych ojczyźnie rycerzy i senatorów; nie dosyć im, że żyją krzywdą wdów i sierot, po zasłużonych mężach zabierając dobra, które boskiém i ludzkiém prawém dzieciom ich w udziale przypaść powinny. Gwałt się dzieje Rzeczypospolitéj, jeżeli własną krwią musi żywić pasożytów... Bo i w czémże użyteczni są w Polsce Jezuitci; czy jest u nich cokolwiek, coby nie było zgubą i zatraceniem dla naszej wolności i całości. Jest! jest u nich majątek wielki i bogactwa dziwne, hiszpańskimi sztukami zebrane; używają ich na budowanie zamków i pałaców, na nabywanie ziem, na zgnębienie i zubożenie całego narodu. A sprobujcie się wmieścić, Senatorowie, do tego, sprobujcie kazać sobie zdać sprawę z pochodzenia i z używania tych ogromnych pieniędzy: zobaczycie, że zaraz wszyscy zostaniecie przekonani o herezji i na stos wskazani. — W imieniu więc tych wszystkich pokrzywdzonych, w imieniu kapłanów zacnych a świętobliwych, których Jezuitci sromotnie z kościołów wypędzają i od pełnienia obowiązków odsuwają: — przypominam wam to, co miał zawsze na celu wielki i mądry król nasz Stefan, przypominam wam, abyście wszystkie wewnętrzne wrzody niepokoju i niezgody z łona Rzeczypospolitéj usunęli, bo inaczej dozwolicie całej Polsce runąć w przepaść zguby, i wam tylko, waszj niedbałości i brakowi energii późne pokolenia winę przypiszą i gorzko zlorzeczyć wam będą.

Akcyja ta była wodą na młyn protestantów: rozchwytywali, i czytali ją żarliwie, propagowali wszędzie i sporządzali nowe wydania; tłómaczyli na język niemiecki, a podobno, że i na polski. (Polskie wydanie: „Konterfekt Jezuitów nie przechowało się do

<sup>1)</sup> Jedna wskazówka więcej, że Klonowicz a nie kto inny, jest autorem Akcyi.

naszych czasów). Sam Klonowicz musiał się przestraszyć, widząc takie skutki swojej Akcyi, czując, że nie do uspokojenia, ale do rozjątrzenia umysłów się przyczynił. To téż kiedy Stanisław Reszka, Hozyusza przyjaciel i towarzysz jego na Soborze Trydenckim, wydał w odpowiedzi na tę broszurkę całe dzieło, pod tytułem: *Gąbka, którą wycierają się wszystkie oszczerstwa i wyrzekania szlachcica polskiego na Jezuitów* (po łacinie; *Spongia, qua absterguntur covitia et maledicta Equitis Poloni contra Jesuitas*“ Krak. 1590), kłótni i polemiki Klonowicz dalej toczyć nie chciał i nie wydał (zapewne, jak to tytuł „Actio prima“ wskazuje) dalszych filipik. I bodaj, że zrobił najlepiej. Namiętne jego usposobienie nie dozwalało mu zachować koniecznej w takich razach miary i spokoju—zawiele chciał dowieść i nie dowiódł niczego. Zamiast wystąpić spokojnie i z rozwagą przeciwko jednemu słusznemu zarzutowi: nietolerancyjności—powtórzył cały szereg najmniej wiarogodnych plotek, jakie tylko w skrajnych protestanckich wylegnać się mogły głowach. Zadanie Reszki nie było trudne, to téż i nic dziwnego, że zwycięzko z niego wyszedł. Na brak nauki i zdolności między Jezuitami łatwo przytoczył przykład Piotra Skargi, a i obrona szkół jezuickich w porównaniu z ówczesnym stanem Akademii nie potrzebowała wielu wysileń i sztucznie budowanych argumentów, na jakie mimo to autor „Gąbki“ się sadzi.

Pod względem zewnętrznym, pod względem wyrażenia i stylu Akcyi, na *Katylinarkach* Cyncerona wzorowana, przedstawia się bardzo dobrze. Jest w niej atoli także ten brak ścisłego i logicznego rozumowania, to przeszkakiwanie nieuzasadnione i niedość ściśle połączone z jednego przedmiotu na drugi. Nie znać w niej myśli przewodniej, jednego i stałego planu; jest to mnóstwo zarzutów najbeładniej koło siebie rzuconych. W każdym razie nierozwiązaną pozostanie zagadką ta bezgraniczna Klonowicza nienawiść do Jezuitów, jaka na każdym miejscu się przebija; ona to zapewne spowodowała księdza Załęskiego do przypuszczenia, że Akcyi była odwetem za ostrą krytykę, jaka spotkała „Wiktoryę“. Ks. Załęski opiera się zapewne na przypuszczeniu p. Przyborowskiego, że „Wiktorya“ wyszła w 1587, co się nam prawdopodobnym nie wydaje. Być bardzo może, że powstała ona pod wyraźnym natchnieniem i wskazówkami Gorajskiego, gorliwego kalwina, jeszcze przed pobytem w Zamościu: ztąd ten jej ton ostry i zjadliwy, być może, przyczyna jaka inna, więcej osobistej natury, o której my jednak żadnej nie mamy wiadomości.

Superintendentem w Zamościu był Klonowicz nadzwyczaj krótko: już w 1592 spotykamy go w Lublinie, a nic nie sprzeciwia się przypuszczeniu, że posadę wcześniej jeszcze porzucił. Może Zamoyski, niezadowolony z wmieszania go w te awantury, dał to Klonowiczowi uczuć wyraźnie; a ten bardzo wrażliwy i gniewli-



wy, wziął to może tak do serca, że korzystne stanowisko opuścił i napowrót wprzągnął się do zmundnych i przeciwnych jego naturze zajęć miejskich. Témby się tłumaczyło, dlaczego w „Victoryi“, porównywając swoją dolę z dolą Owidyusza, i siebie i jego „exulem“ t. j. wygnańcem nazywa.

## VI.

Kiedy Klonowicz z Zamościa powrócił, nie mógł zapewne jeszcze do „Józefowskiej Wólki“ pojechać, nie zagospodarował się w niej bowiem dostatecznie. Został więc w Lublinie i tu przez trzy lata z rzędu najwyższymi godnościami miejskimi obdarzony piastował w r. 1592 i 1593 urząd wójta, w r. 1594 burmistrza. A przypada ten czas na najwyższy rozwój i największą świetność Lublina. Trybunał koronny dla województw małopolskich postanowiony tam przywilejem Stefana Batorego z roku 1578 jest epokową datą w dziejach miasta, od tego bowiem czasu szlachta i magnaci, potrzebujący wobec trybunału praw swoich bronić, albo téż tego trybunału członkami będąc, nie tylko, że zjeżdżali się w wielkiej liczbie, ale i znaczną część roku w samym mieście przepędzać musieli, a przeto budowali tam sobie domy i pałace. Wskutek téż tego Lublin stał się ważnym ogniskiem handlu i ruchu umysłowego, spowodowanego głównie napływem różnowierców i reakcyjną działalnością katolików. Tutaj w 1586 odbyła się rada senatu dla naznaczenia sejmu o sprawie Zborowskich, na której sam król był obecny (i wtedy to mógł Klonowicz ze Stefanem rozmawiać, jak o tém w „Votum“ wspomina). Za burmistrzostwa Klonowicza założono w Lublinie drukarnią (Pawła Konrada), wcześniéj nieco Zebrzydowski bractwo miłosierdzia na wzór krakowskiego ufundował. — Słowem pod koniec wieku XVI Lublin miał 40,000 ludności, kilkanaście kościołów, wiele pałaców szlacheckich i wiele fabryk <sup>1)</sup>. Dopiero rokosz z 1606 r. tę świetność zniszczył tak, że już nigdy Lublin do niej powrócić nie mógł. Naturalnie stanowisko burmistrza w takim mieście nadzwyczaj było ważne i szczytne i jest dowodem wielkiego zaufania i wielkiej Klonowicza u współobywateli popularności. — Od roku 1595 przeniósł się jednak Klonowicz na wieś, odpoczywając po uciążliwej pracy; oddając się prawie wyłącznie poezyi i gospodarskim zajęciom. Z tego czasu powstaje Flis (1595), z tego „Victoria Deorum“, z tego wreszcie „Worek Judaszów“, zamykający w r. 1600 całą poetyczną Klonowicza działalność. — Tak więc o-

<sup>1)</sup> Wiadomość tę czerpię prawie dosłownie z pracy Sobieszczańskiego w Enc. P. XVII 340.

trzymał Klonowicz to, o czém marzył, o co się w „Żalach“ tak wyraźnie przymawiał, — ową włokę nad rzeczką. Przynrękł, że, jeżeli ją dostanie, — „będzie się mogło co sprostać? A jużby był i czas po temu; talent, jeżeli był, powinien być już dojrzyć, nadeszła ta chwila pełni rozwoju, w której od wielkich oczekuje się arcydzieł, od małych przynajmniej rzeczy dobrych, lub chociażby względnie najlepszych.

Czy Flis jest rzeczywiście tém, czegoby się po nim spodziewać można było? Czy jest tém nawet, za co go uważają pospolicie? Kraszewski powiada, że jest „najpoetyczniejszym ze śpiewów (?) Klonowicza“, że autor, jak przystało na poetę, bardziej jest malarzem, śpiewakiem, tłumaczem uczuć i wrażeń swoich, niż moralistą poważnym lub satyrykiem poetycznym, jakim się w większej liczbie innych pism swoich okazuje. Sąd ten powtarzają za nim wszyscy autorowie podręczników: Wiszniewski tylko, przytoczywszy dosłownie to, co pisze Kraszewski, dodaje, że „nad Flisa niemasz w literaturze Zygmunrowskiej poematu, któryby tak mocne rysy i koloryt ojczysty na sobie zachował; liczne ustępy wiążące się ściśle z główną jego myślą nie mało mu poetycznych dodają wdzięków“. Kondratowicz zaznacza, że „Flis“ wyższe ma znaczenie, niż mu autor nadać zamierzał; chciał bowiem tylko nauczyć bezpieczeństwa w żegludze i użytecznego handlu na Wiśle, a stworzył poezją, miłą sercu, pełną znaczenia pod względem języka, cenny obyczajowy obraz flisa Wiślańskiej żeglugi, pamiątkę miejsc, na które patrząc w swobodzie i oczarowaniu umiał je uroczo przedstawić“. Pani Deotyma wreszcie w Tyg. ill. za 1861 (żeby już raz te obce sądy zakończyć) mówi o Flisie: „Jest to jedno z dzieł rzadkich tą osobliwością, że nie miało ani wzorów, ani naśladowców; choć tak dawne, należy do najromantyczniejszych naszych poematów. Wiersz wyrzeźbiony sam się śpiewa; niektóre zwrotki mogłyby służyć za epigrafy“ etc.

Czy to wszystko prawda? Już na samym początku zaprzeczć musimy jednemu, temu, co utrzymuje Kondratowicz, że Flis ma wyższe znaczenie, niż mu autor nadać zamierzył. Tak nie jest. Klonowicz sam bardzo wielką do Flisa wagę przywiązywał, kiedy w ostatniej zwrotce nieśmiertelności po nim się spodziewał. Zdawało mu się zapewne, że w tym poemacie potrafił urzeczywistnić ideę odrodzenia poezyi w pierwiastkach czysto polskich — zdawało mu się nawet, że wynalazł odpowiednią dla niej formę; i rzeczywiście w tej romantycznej (jak się ją podobało pani Łuszczewskiej nazwać) poezyi schyłku XVI, pierwszej połowy XVII wieku, Flis zajmuje pierwsze co do czasu i znaczenia miejsce: gdyby jego autor był więcej artystą, gdyby więcej umiał swój temat poetycznie wyzyskać, kto wie czy ten poemat nie stałby się ta-

kim rzeczywiście, jakim go chciał mieć prawdopodobnie Klono-wicz. Ale... przypatrzmy się poematowi <sup>1)</sup>.

Sam początek zapowiada się zupełnie dobrze. Jak już wspomnieliśmy, wyraźnie zaznacza tu poeta zerwanie z naśladowaniem klasycyzmu. Niech tam kto chce wzywa wszetecznego Pozejdona, niech się umizga do tych Nimf jego, niech sobie Eola wzywa, niech się modli do Dioskurów.

Lecz my błagajmy onego, co w łodzi  
Zasnął, gdy morskie powstały powodzi:  
A ocknąwszy się, wiatry pohamował,  
Morze szładował.

Pod jego opieką nie obawiaj się Flisie nawałności i złych przygód, on cię wyratuje od zguby i w niwecz obróci wszystkie złe wróżby, jakie na drodze swojej spotkać możesz. Choć prawda, czasem, kiedy Bóg dopuści, zdarza się, że ugrzęzniesz na mieliźnie, że się rozbijesz o skały; jeżeli tak się dzieje, to tylko dla tego, że Bóg chce chciwość ludzką przykładowo ukarać: bo po co na niepewne wody się puszczać, w obcym przebywać żywiole. Człowiek dobry i nie nazbyt chciwy nie wie, co to jest rozgniewane lub rozigrane morze. Wody ma dosyć w rzeczce i źródłu. „Rzeczkę dla bydła, a źródło dla siebie — kwoli potrzebie“. Wystarczy mu jeżeli strumyczek mały pędzi młyn, w którym na własne potrzeby się miele — (podobne myśli i uwagi są w którejś odzie Horacyusza); Bóg wiedział, co robi, wyznaczając człowiekowi na mieszkanie ziemię: niech sobie aniołowie w niebie mieszkają, niech bujają po powietrzu ptaki, — w wodzie ryby, a człowiek na lądzie żyć powinien. Bóg o wszystkich pamięta i nikomu zginąć nie da: — każde zwierzę ma podostatkiem żywności, a człowiekowi miałoby jej brakować, potrzebowałby aż za morzem jej szukać?

Każda nacya ma tak wiele doma  
Żywności, gdy jój nabywa rękoma  
Ręczymi, że się obejdzie bez dworskich  
Potraw zamorskich.

Więc Ichthyophagi (to także nacya) mają ryb dostatek, pomi-ja moc jajec ptaszyc, Akridofagi „Na pstre koniki, co lecą z Afryki — stawiają wniki“; Ormianie grzybami się żywią.

Naszym téż Włochom nie lada intrata,  
Roście w bogatym ogrodzie sałata,  
Żabki zielone, ni się ich przebierze,  
Rzehcą w jezierzce.

<sup>1)</sup> Przyjmujemy za punkt oparcia wydanie Stan. Węclewskiego, różniące się nieco od wydania pierwszego, a oparte na wydaniu Trełpińskiego. Wydanie to krytyczne, z doskonałymi przypiskami, jest naśladowania godnym wzorem, jak takie wydania sporządzać się powinny.

Polak za to ma zboża obfitość; do niego Cerera z Sycylii na mieszkanie się przeniosła. Niech tam kto chce mówi o żyzności Egiptu: Polak jej nie pragnie. Co mi za żyzność, którą okupywać trzeba wylewem i potopem. Polak i tak ma dosyć, choć w brzegach rzeki (ładny obraz bogactw naszej ziemi zw. 50 — 58). A przeto, co ci przyszło do głowy, polaku szalony, wodzie niepewnej mienie swoje powierzać: „Dał ci Ikarus znać swym testamentem, byś się nie bawił cudzym elementem“. Więc przykłady Ikara i Iksyjona... Zupełnie tak samo nie przystałoby ci pod ziemią żyć w ciemnych kopalniach, chociażby one złoto ci przynosić miały: i tak się dosyć po śmierci w ziemi należysz, pocóż za życia pchać się w jej łono. Pomyśl tylko sobie, ilu to już ludzi poginęło w wodnych otchłaniach. „Po wodzie tylko pajak cienko nogi — Ujdzie bez twrogi“. Chciwość nieposkromiona była pierwszą pobudką żeglugi: tego się nam chce, co na cudzym brzegu: „Doma się rzeczy choć dobrze są przednie. — Zdadzą powszednie“. Inni wprawdzie nie dla marnych groszy, ale z namiętnego pożądanja do wody się rzucili; jako ten Leander, którego miłość do Itery według Muzeusza jest opisana. W wyjątkowych razach, prawda, przeprowanie się przez rzekę jest konieczne: czasem bydlę przepłynie ją, zobaczywszy na drugiej stronie lepsze pastwisko, czasem stado gęsi na drugi brzeg przeleci — i trzeba za tém iść i z chęcią, czy bez chęci, przez wodę brnąć; a znowuż trudno obchodzić rzekę aż koło źródła, trudno za każdą razą ubranie moczyć, — ztąd łódka mała jest potrzebna; przyda się nawet prom od wypadku, kiedy trzeba wozem jechać; ale te szkuty i dubasy flisowskie wymyślił ten, kto Polsce był nieprzyjacielem. Na nich to na morze wywozi się drzewo w polskich lasach rąbane, na nich zboże, krwawą pracą kmiotka na polskiej ziemi wyrosłe. Pan szlacheć zawsze chciwy: poddanych wyszukuje, dziesięciny wybiera, zawsze mu mało; w dalekie strony dobytek wywozić musi, — dla zysku, dla tych kilku groszy więcej; które mu dadzą gdzieindziej. Zwykle te rachunki szybkiego zbożacenia się zbożowym handlem pełzną na niczém; złote runo za morzem jest sobie często najzwyczajniejszą wełną. Dla objaśnienia potrzebna opowieść o Jazonie, zakończona dowcipami tak rubasznymi, że poważny Węclewski nie może nad nimi wyjść z oburzenia. Przykład za przykładem, jak to do niczego dobrego żaglowanie nie doprowadzi: więc Parys uwiózł żonę Menelausową na okręcie, więc Minos na okrętach wojny prowadził, a od tych czasów zawsze morze od rozbójników się roi... Długą i niebezpieczną drogę mają kupcy: tu następuje geografia Europy, Azji, Afryki, Ameryki, wyliczenie wszystkich lądów, obok których przepływać muszą i niebezpieczeństw, na jakie się narażają. Obejmuje ten traktat zwrotek trzydzieści, na to, żeby powiedzieść na końcu: Chociaż tamci kupcy zamorsey w takiej podróży złotem się obładują i perłami

Nie tak bogaci sławni Fukierowie,  
 Jako tu szlachcie o świętym Marcinie  
 W naszej krainie.

Móglby kto powiedzieć, że żeglugę polecił ludziom sam Pan Bóg, kiedy Noemu kazał korab' wybudować, ale tam chodziło o cały ród człowieczy; bo nie na samej żegludze zależy, ale na tém, jakie są do niej pobudki. Prawda, że godziwą jest rzeczą użyczać chleba drugim, kiedy się go ma aż nadto: ale jeśli go sąsiedzi nasi potrzebują, niechaj sami poń przyjeżdżają<sup>1)</sup>. Najlepiej tego dowodzi przykład Józefa: nie on szukał braci w potrzebie, ale bracia jego... Daremne słowa, Flis nie słucha mądrych przestroóg poety, brwi marszczy i gniewa się. Ha! cóż! kiedy taka wola twoja; — nikt na to nie poradzi. Nadzieje twoje ledwie w dziesiątej wypełnią się części, — ale naucz się doświadczeniem: ono cię lepiej przekona niż przestrogi, o których prawdzie nie jesteś przeświadczony. Taką już masz naturę, tak ci rzemiosło zasmakowało, że ledwie lody z Wisły zejda, twoja myśl cała jest już na wodzie: „na Wiśle pływa za swoim rotmanem, — Jak za hetmanem“.—Rób sobie, co chcesz

Jeno wždy morzu daj pokój, a Wiśle  
 Frochtuj zdrów, a wiedz swój handel choć ściśle,  
 Chwał morze, a sam pływaj po świadomój  
 Rzece znajomój.

a ja cię za to już doprowadzę aż do celu twojój podróży, do Gdańska, nauczę cię, jak masz postępować, gdzie płynąć, czego się wystrzegać; jeśli po raz pierwszy zaciągnąłeś się między Flisy, nauczę cię ich zwyczajów, ich mowy — a będziesz mi za to wdzięczny. Przedewszystkiem, nie ryzykuj: połowę mienia zostaw przynajmniej w domu, mniejsza będzie szkoda, jeśli tylko część przepadnie, niż gdyby cała chudoba na marne pójść miała. Jeżeli ci pierwszy obrót dobrze pójdzie, za drugim razem śmieliej poprobujesz szczęścia. Niechaj cię nauczy tego bajka, którąć powiem:

<sup>1)</sup> Jest to ten sam błąd ekonomiczny, który o wiele później powtarza się w *Votum Starowolskiego*. Cło ma być ustanowione nie od przywozu; ale od wywozu. Tłomaczą to zwolennicy tego systemu — tém 1) że nam może zabraknąć (fałszywie, bo w razie głodu ziemianin wolałby zboże sprzedać czy schować na miejscu, niż daleko na niepewne wywozić) i 2) że kiedy się już to zboże znacznym kosztem do Gdańska przeprowadzi, choćby się go nie mogło sprzedać, nie będzie się chciało na powrót do Polski przywozić, sprzeda się więc Niemcowi za bezcen. Gdyby zaś Niemcy byli zmuszeni do nas po zboże przyjeżdżać, znaleźliby się w takiem samém, co polacy poprzednio położeniu, a w dodatku wszelkie pieniądze, jakieby wydali podczas podróży, pozostałyby w Polsce.

nietoperz, nurek i kierz jeżynowy byli także niegdyś flisami i wybrali się wspólnie na wielką wyprawę, po której dużo obiecywali sobie zysków. Nietoperz zaopatrzył się w pieniądze, miał kredyt, napożycał dużo; nurek klejnotów moc wielką naładował na statek, a kierz jeżynowy „nabrał na srogi zapas postawów sukna.“ Na ich nieszczęście przyszedł wiatr przeciwny. rozbił im okręt: całe mienie stracili. Dlatego to teraz nietoperz chroni się we dnie przed wierzycielami; dlatego nurek szuka na dnie morza swoich klejnotów i dla tego kierz jeżynowy chwyta wszystkich za suknie, bo wszędzie dopatruje się tego sukna, które stracił. Powiadają, że węże, kiedy przepływają przez wodę, ogonami splatają kratę kwadratową. „Po brzegach każdy z wyciągniętą szyją, Pilen porządku swojej burty strzeże jak rycerz wieżę.“ Każda strona kolejno płynie naprzód i ciągnie swoje towarzysze.

Od nich także powinienes się flisie nauczyć, jak masz swoje komięgę budować: powinienes wywiedzieć się naprzód zanim w drogę wyruszysz, czego tam potrzebują gdzie ty jedziesz.

Byś drew do lasa (jak mówią u dworu)

Albo więc szyszek nie woził do boru.

Pamiętaj przedewszystkiem o zbożu, bo ono zawsze popłaca i na niem najwięcej zarobić możesz. Za drugim dopiero obrotem możesz na większym statku (szkucie) popłynąć, którą uczony rzemieślnik ci zrobi; a nauczył on się takowego kształtu od ryby, zwanéj Nautilus czyli Żeglarczyka, która zabawną postać okrętu przybiera, kiedy po wierzchu płynie. Tak to sama mistrzyni natura uczy ludzi wielu dowcipnych wynalazków; bo od kogóż nauczył się murarz murować, jeśli nie od jaskółki, od kogoż malarz wzory swoje bierze, jeśli nie od owych cudnych kolorów, jakiemi wymalowane są kwiaty, od kogo tkacz poznał sztukę przędzenia, jeśli nie od pajaka, który w delikatności roboty samą Minerwę przewyższył i zakład z nią wygrał. A już nie kto inny, jeno mała mrówka uczy nas jak należy gospodarować w domu u siebie i jakowy kształt winna mieć Rzeczpospolita. A potem idą okropnie i nudne niepoetyczne przepisy, jak ta szkuta ma być zrobiona, w co się ma zaopatrzyć, w jakie sprzęty, w jaką żywność; potem idzie wylizywanie obszerne wokabul, jakich używają flisy i tłumaczenie, że każdy zawód ma swoją odrębną mowę: tak samo strzelcy tylko strzelców zrozumieć mogą, tak samo tylko flis flisa pojmie, więc naprzód, jak się nazywa taki a taki brzeg, taki a taki prąd, po czém można poznać mieliznę, poczem skałę i jakie są znaki ostrzegające rotmana. Tych kilka charakterystycznych nazw powtarzano już wiele razy, w każdym podręczniku jest o tém, że flisowie nazywają bociana księdzem Wojciechem, wronę ciotuchną, wiatr stryjem, mgłę mamką.—To może być ciekawe, to może być zabawne, ale nie w ten sposób, jak o tém opowiada Klonowicz. Im dalej

tém gorzej, zmuszeni jesteŝmy słucać wszystkich miast, leżących nad brzegiem Wisły, wszystkich rzek po lewym i prawym brzegu do niej wpadających, podobnie było w Roxolanii. I tam był opis miast, — ale inny, zajmujący, poetyczny, a chociaź tu także są wcale ładne ustępy np. opis Torunia, to nie można ich porównać z tém chociaźby, co tam Klonowicz o Kamieńcu mówi. To też z rozkoszą niewymowną dopływa się do ujścia, gdzie jakby za nagrodę za tak długą cierpliwość czytelnika, opowiada mu Klonowicz podanie o dwóch braciach, którzy się w drogę z siostrą wybrali i przyszli na dwór królewski i wstąpili tam w służbę. Ale siostra po krótkim czasie widząc, jak bracia jęj na dworze są potrzebni, a „czując do siebie śliczną gładkość“, — wzrosła w pychę i z samą królową równać się chciała. Pani dobra i łagodna nie wpadła w gniew, owszém zdała się na sąd bezstronnego sędziego, który miał rozstrzygnąć, która z nich jest piękniejsza. Wyrok wypadł na korzyść królowej, siostra oburzona rozłączyła się z braćmi i z dworem i sama sobie w świat poszła. Królowa to Wisła, bracia to Niemen i Bug, a tą dumną dworką jest Narew, która potem odłącza się, spływając do morza Nogatem. Sędzią jest strumień Wierzyca. A miejsce gdzie nastąpiło to rozłączenie nazywa się na wieczną rzeczy pamiątkę Gniewem. Tutaj także, na tém miejscu odbywa się operacya wyzwolin młodego flisa, tak zwanego „frycza“, opisana ze szczegółami i z dowcipami bardzo grubemi. I znów przepisy kupieckiej ogłędności, jak nie trzeba na słowo, ani na skrypt wierzyć, ale gotówki żądać; jak sobie radzić w razie oszustwa, gdzie iść, do kogo się udać i przytém wielce zabawna scena rozmowy po łacinie z niemcem, przekręcającym po swojemu wyrazy; nieporozumienie z tego powodu, kłótnia pokojowo ostatecznie załatwiona. O tój łacinie niemieckiej mówi poeta:

Aż mi grzmi we łbie ta łacina skoczna,  
Bo foremniejsza niż nasza potoczna,  
Gdyby tak w polu, bodaj mię ubito,  
Potłukłby żyto.

Z powrotem flisy grają w kości lub w karty, śpią lub wadzą się z sobą lub z nudów polują na zwierzęta, które w ich głowie obrały sobie siedlisko. A kiedy przyjedziesz do domu (koniec najpiękniejszy) w sukmanie swęj nowęj, karazyjowęj, w szerokiej pięknej krajce, w zuchwałęj magierce

Tak się staw ojcu i macierzy staręj  
Wesoło, szatno i szumno bez miary,  
Oddaj rodzicom gościnniecnieboże,  
Jaki być może.

A Zochnie daruj gdański pas puklasty,  
Na odświętny kształt, muchajer ceglasty.

Niechaj tabinu, niechaj jadamaszku

Cnotliwy Staszku.

A gdy się w ciepłej piekarni rozgrzejesz.

A krzeczka owak po swemu zalejesz,

Prawże nowiny, praw flisowskie dzieje

I przywileje.

Ale żeś chłostę podjął u Nogatu,

Nie zwierżaj ani rodzonemu bratu:

Bo cię cholewą będą zwać parobcy

Swoi i obcy.

Ostatnia zwrotka wyraża, jakeśmy już o tém wspomnieli, przekonanie poety, że Flis przejdzie do potomności.

I przeszedł, zajmując ważne bez wątpienia miejsce w dziejach literatury. Nazwisko Klonowicza zrosło się z Flisem, znają go chociażby w wyjątkach wszyscy — i on to jest główną podporą poetycznej sławy poety. A jednak Roxolania przerosła Flisa o całą głowę: niedostępna jednak dla ogółu, nie mogła być tak jak Flis znana, ani tak oceniona, z tego samego powodu nie mogła takiego jak on wywrzeć wpływu. Tam była forma klasyczna, forma, która zaczynała się już przeżywać: nie wszyscy mogli przez nią dopatrzyć ducha. Od téj osłony Flis jest wolny, można go przejrzeć do głębi, intencje poety wyrozumieć: a (dla mało wymagających) i za wzór do naśladowania uważać. W Roxolanii były pierwsze przebłyski nowój epoki: z Flisem jest widoczna i jawna przeciw humanizmowi rewolucya. Zresztą Flis charakteryzuje doskonale swojego twórcę: rubasność i prostota, przeradzająca się w prostactwo, wychodzi tu daleko więcej na wierzch niż gdzieindziej. Podobny w tém jest autor jego do Reja; tyko, że lepij od tamtego rymuje i że w innych obraca się sferach. Tém się także różni od swego poprzednika, że brak mu fantazyi najzupełniej. Jakże łatwo było wpleść choćby najprostszą w tego Flisa bajkę: daleko byłoby zręczniejszypowiedzieć wszystko to, co wypowiedzieć pragnął. Choćby ten Staszek tak pięknie występujący przy końcu, na samym początku zegnał się z ową Zochną, puszczając się w daleką drogę; żeby to jeszcze te nauki nie sam poeta dawał, ale może jaki Flis starszy i doświadczeńszy, żeby jego te wypadki spotykały w drodze, żeby on to miał tę awanturę w Gdańsku, żeby on wracając w kości grał, a chociażby, jeżeli już koniecznie tego chciał poeta, to polowanie na sobie urządzał, — cały Flis wyglądałby zupełnie inaczej, miałby punkt oparcia, jakieś połączenie, jakieś usprawiedliwienie swego istnienia. Tylko w ten sposób możnaby połączyć owo utile dulci, o którym jest mowa w dedykacyi, — chociaż, gdzie to tam to utile jest, to jeszcze wielka kwestya, bo przecież żaden flis z książki swego rzemiosła uczyć się nie będzie. A tak jak jest — niema w tém nic przyjemnego, ani nic pożytecznego. Flis jako dzieło sztuki jest robotą wprost nie udałą. Nie miał Klonowicz wcale usposobienia arty-



stycznego, fantazyi, tworzyć nie umiał. Rymy tylko szły mu gładko i łatwo,—więc pisał, coć mu się zdało, prędko i aby zbyć. Sam poeta tłómaczy w dedykacji Gostomskiemu, jak Flis powstał: „Trafiło mi się nie dawnych czasów do Gdańska Wisłą płynącą, a iż przed tumultem i krzykiem flisowskim nie mogłem czego poważniejszego czytać ani pisać, przetożem wziął przed się tę materją, która mi natenczas przed oczyma i przed rękoma była: to jest wypisałem naprzód *incommoda navigrationis*; potem przygotowanie do szczęśliwego prochtowania (t. j. żeglugi); item rzek i strumieniów, które Wisła wypija, imiona i miejsca; na ostatek przewiska, obyczaje abo prawo flisowskie, chcąc podczas rzeczy prawdziwe i pożyteczne żartami osłodzić“. Cała praca około Flisa trwała dwa tygodnie: jeżeli się pisze poemat obejmujący blisko dwa tysiące wierszy przez dwa tygodnie, to i tak trzeba podziwiać, że ten poemat jest chociażby znośny,—a cóż dopiero, że ma jeszcze ładne miejsca i ustępy, jak ta inwokacya naprzykład, jak bajka o nietoperzu i towarzyszach, jak podanie o Narwi i jak wreszcie końcowy ustęp. Naturalnie niema mowy o tém śpiewactwie i malarstwie uczuć i wrażeń, o jakiem opowiada Kraszewski, ani o tém uroczém przedstawieniu, jakiego się dopatruje Kondratowicz: naszym zdaniem przedstawienie jest suche i nudne. Prawda to tylko, co o „Flisie“ powiada Wiszniewski, że niema poematu z tej epoki, któryby tak mocne rysy i koloryt ojczysty na sobie zachował. Nieliczne ustępy dygresyjne z przykładami starożytnego świata, traktowane są w sposób wiele nie klasyczny, ironiczny nawet, jak widzieliśmy: a tam, gdzie przychodzi mówić mu o żyzności polskiej ziemi, gdzie występuje przeciwko marnotrawstwu polskich płodów, gdzie polskie bajki i podania opowiada: tam jest prawdziwie wymowny, prawdziwie oryginalny, tak jak rzeczywiście żaden z poetów epoki Zygmuntofskiej. Jeżeli pani Łuszczewska to zrozumiała przez romantyzm „Flisa“ — miała racją; ale gdzie potrafiła się w nim dopatrzyć wiersza „rzeźbionego“, ona, która sama najlepiej zna i rozumie harmonią poetycznej rytmiki: jest to dla nas zagadką, której rozwiązać się nie podejmujemy <sup>1)</sup>.

Z czasów pobytu Klonowica na wsi pochodzi także zapewne wydany bez miejsca i roku „Pamiętnik królów i książąt polskich“. Niewiem na jakiej podstawie bibliografowie odnoszą tę książeczkę aż na ostatnie lata życia poety: powiadają, że jest to rzecz tak słaba i licha, iż chyba trzeba przypuścić powstanie jej na łożu śmiertelném, kiedy już Klonowicza i siły i talent (!) opuszczał. Zapewne arcydziełem pamiętnik nie jest, a nawet robotą, trzeba przyznać, nieszczególną; ale bynajmniej nie odbija tak bardzo od innych

<sup>1)</sup> Między edycją pierwszą a wydaniem Trelpińskiego musiała być jeszcze edycya druga, za życia autora dokonana i przez niego uzupełniona, którą właśnie Trelpiński przedrukował; świadczą o tém ustępy niewątpliwie z pod pióra Klonowicza wyszłe, których wydanie pierwsze nie ma, a które przecież Trelpiński zamieszcza.

pism Klonowicza: zaniebdanie rymów i formy, jest tak tutaj jak i wszędzie, a gruba i dosadna charakterystyka owszem dość wyraźnie cechuje Pamiętnik. Jest to prototyp wszystkich owych śpiewów historycznych o celu pedagogicznym: różnica między nim, a późniejszymi tego rodzaju robotami jest ta, że Pamiętnik sposobem epigramatycznym zamyka w czterowierszu krótką charakterystykę każdego z panujących. Większa część tych epigramatów poświęcona historii mitycznej: dowiadujemy się ztamtąd, że Krakus wypędził z Polski Francuzów, którzy się tu rozgospodarowali, że za powtórnego panowania dwunastu wojewodów Węgrzy z Morawianami na wspólnie opanowali całą Polskę, że dopiero Leszko pierwszy ich wypędził, myląc ich szyki, ubrawszy las we zbroję (coś jakby w Makbecie), że Leszko drugi był pierwotnie chłopem, i chociaż już zasiadł na tronie, sukmany z siebie nie zrzucił, że Leszek trzeci walczył z Węgrami przeciwko Rzymianom i Grekom i że dwudziestu miał synów, że Piast nie chłopem był, ale mieszczaninem i że już Ziemowit chłodował Pomorze. Z historii faktycznej charakterystyka każdego z panujących zwięzła bardzo, a nieraz dowcipna. Zaznaczyć tylko trzeba, że zupełnie nie wzmiankuje o Jadwidze a Aleksandra stawia za wzór każdemu monarsze. Kończy ten cały szereg na Batorym, który:

Mężny, mądry, pobożny—sprawiedliwie, zgodnie,  
Rządził i sądził Polskę,—umarł potem w Grodnie.

## II.

Tak więc Klonowicz w chwilach od gospodarskich zajęć wolnych pisze wiersze opisowej albo dydaktycznej natury <sup>1)</sup>, a z Wereszczyńskim stykając się często o sprawach Rzeczypospolitej myśli i zaradzić jej ranom usiłuje. Dowodem tego ma być „Votum szlachcica polskiego, ojczyznę wiernie miłującego o założeniu skarbu Rzeczypospolitej i o obronie krajów ruskich“. Powstało ono jeszcze pod „oną trwogą turecką anno 1589“ a podpisane jest czterema literami w dwóch rzędach pod sobą umieszczonemi J. S. S. K. Nie dowodziłoby to jeszcze wcale autorstwa Klonowicza (choć to pierwsze J. S. dałoby się wytłómaczyć: Joannis (filius) Sulmircensis,— albo Josephoviensis scultetus), gdyby nie wspólność myśli w tém Votum tu i owdzie rzuconych z przedmową do poematu w tymże roku 1596 co i Votum wydanego: „Pożaru czyli upominania do gaszenia“. W téj przedmowie (tak jak i w Votum) kładzie nacisk na to, że „aeraria inexhausta“ potrzebne są każdemu miastu i każdej Rzeczypospolitej, w przedmowie (tak jak i w Votum) uno-

<sup>1)</sup> Z tego czasu pochodzi zakwestyonowany lichy przekład Dystychów Katona.

si się nad mądrością zdania „si vis pacem, para bellum“, wreszcie zarówno w przedmowie jak i w *Votum* objaśnia i cytuje miejsce z *Wirgiliusza* „Jam proximus ardet Ucalegon“, robiąc aluzję do stosunków polskich, — żeby innych podobieństw i tożsamości nie przytaczać. Jeżeli się doda jeszcze i to, że całe *Votum* tchnie duchem reform *Wereszczyńskiego*, jest jak gdyby pod jego wpływem napisane, — a gdzieś w niém robi aluzję, że prawdziwego szlachectwa dowodzi nie tylko nazwisko na *ski* zakończone, ale całe życie cnotliwe i usługom *Rzeczypospolitej* poświęcone (co prawie dosłownie w „*Victorii Deorum*“) — stracą powagę takie wątpliwości, jak ta, że autor *Votum* nieraz z królem *Stefanem* rozmawiał, albo ta druga, że użył (byłoby to już drugi raz) pseudonimu szlachcica polskiego. Są jednak pewne różnice stylu dosyć widoczne, które sprawiają, że pomimo wyraźnych powyżej przytoczonych wskazówek, nie śmiemy napewno *Klonowiczowi* owego *Votum* przypisywać: robimy tylko przypuszczenie. *Votum* jest uzupełnieniem jak gdyby projektów *Wereszczyńskiego*: wyszło tylko z głowy trzeźwiejszej i mniej marzycielskiej. Nie iżby *Klonowicz* (jeżeli to on jest owego *Votum* autorem) miał co przeciwko tej lidze na *Turków*, do której tak się biskup *kijowski* zapalił: owszem, nie zamyka oczu na korzyści, mogące wypłynąć ze związku z takim naprzykład *W. Ks. Moskiewskim*, złączonym już przez samą wspólność interesów: mimo tego jakoś nie bardzo wierzy w jej pewność i skuteczność. A gdyby nas tak te rachuby i przypuszczenia na lidze zawiodły? Coby się wtedy stało? Czyżbyśmy musieli opuścić w rozpacz ręce i nadstawić *Turkom* bezbronnego karku? A takby koniecznie było, gdybyśmy, na obcą spuszczając się pomoc, nie pomyśleli o własnej i samodzielnej obronie, nie pomyśleli o wojsku, o owę szkołę rycerskiej *Wereszczyńskiego*, uzupełnionej tylko i zorganizowanej nieco inaczej. Ale zanim się o niém pomyśli, trzeba zastanowić się jakim go sposobem utrzymać można, a nie można tego zrobić bez pieniędzy. Trzeba sobie więc przypomnieć ową *Mons Pietatis* *Modrzewskiego*, trzeba pomyśleć o stałym skarbie *Rzeczypospolitej*: tylko najtrudniejsza kwestya, jak go stworzyć. Więc naprzód dochody z dóbr państwowych, czy królewskich, powinny dostarczać do tego skarbu swoje jedną trzecią część (drugą brałby król, trzecią dzierżawcy). Zamożni duchowni powinni złożyć jednorazową ofiarę większą (tak np. połowę dochodu za rok jeden), powinni oprócz tego płacić za beneficia i sakry do tego skarbu. Szlachta (choć z nią najtrudniejsza rada) w małej chociażby części powinna regularnym podatkiem przyczyniać się do powiększenia skarbu. Resztę przynosiłoby poradne poddanych, podatki żydów, ormian i wszystkich zajmujących się zagranicznym handlem, cła, myta i kary pieniężne za przekroczenie i przestępstwa. Cały ten skarb miałby pozostawać pod strażą pięciu dozorców, mianowanych przez króla, duchowieństwo, *Wielkopolskę*, *Małopolskę* i *Litwę*. Ra-

chunki i sprawozdania ich przeglądać miałyby każdy sejm i naj-  
 lżejszy nieporządek, czy sprzeniewierzenie karać nadzwyczaj su-  
 rowo. Ten skarb miałyby na głównym celu utrzymanie na kre-  
 sach tureckich wojska stałego: wystarczyłoby, według rachunku  
 autora, na ten cel trzykroć sto tysięcy złotych rocznie. O hetma-  
 na nad takim wojskiem nie trudno, bo tych nigdy u nas nie brak,  
 ale zkąd wziąć żołnierzy? Szlachta u nas rozgzuśniła i rozpróż-  
 niaczyła się, wojować jęj się nie chce, pospolite ruszenie, jak to  
 wielekroć razy doświadczenie pokazało, na nic się nie zda. Stała  
 milicya zapewnia najlepsze skutki: dowodem zwycięstwa króla  
 hiszpańskiego. Piechotę możnaby rekrutować z kmieci: trzecia  
 jęj część w czasie pokoju stałaby pod bronią. Inszemi sposobami,  
 nagrodami głównie i odznaczeniami, trzeba by skłonić szlachtę do  
 stworzenia stałej kawaleryi. Kończy się zaś to Votum strasli-  
 wém, a niestety prawdziwém proctwem w formie ostrzeżenia po-  
 daném, żeby na kresy wschodnie szczególniejszą uwagę i bacność  
 dawać, bo nie tylko od Turków niebezpieczeństwo nam grozi: „swa-  
 wola i rozpusta kozacka im dalej, tém większą moc weźwie, a strzeż  
 Panie Boże, by nas do czego dziwnego, albo do zguby nie przywio-  
 dła“. Na tém tam pograniczu nigdy statecznego pokoju i przy-  
 mierza nie będzie. W książce prof. Tarnowskiego o „Pisarzach  
 politycznych XVI w.“ Tom II, str. 80 powiedziano o autorze tego  
 Votum, że „musiał to być człowiek może zwykły i taki jak wszys-  
 cy rozumem i talentem, ale wyższy od wielu polskim instynktem  
 miłości ojczyzny i żywém uczuciem tego, co jęj potrzeba“. Rze-  
 czywiście: wszędzie, w każdym piśmie, poemacie, politycznej bro-  
 surze czy satyrze:—wszędzie widnieje to wysokie uczucie miło-  
 ści ojczyzny,—niepospolite, jak na szlachcica nawet,—na plebeju-  
 sza wprost zadziwiająca i niebywale. Chętnie się téż wybacza, je-  
 śli się widzi, że ten zapal za daleko go unosi; bo się jest przekon-  
 anym, że to uczucie, że ta miłość ojczyzny przyświeca mu zawsze  
 i wszędzie.

Trzecim utworem Klonowicza, który treścią do politycznej  
 literatury dalby się zaliczyć, jest „Pożar, upominanie do gasze-  
 nia i wróżka o upadku mocy tureckiej“ napisany wierszem jedena-  
 stozgłoskowym. Jestto przekład jednego ustępu z „Victorii Deo-  
 rum“, ale przekład tak zmieniony, że koniecznie trzeba go jako  
 ustęp osobny uważać i omówić. W tym lesie najrozmaitszych róż-  
 ności, jakim jest Victoria Deorum, ten niewielki ustęp ginie bez  
 śladu: łaciński hexametrr zalewa, rozwadnia i rozmazuje ten zapal,  
 to tętno i to życie, jakim tchnie ten poemacik mały, ale nieposle-  
 dnie między pismami Klonowicza zajmujący miejsce.

W Akcyi widzieliśmy wystąpienie przeciwko wewnętrznym  
 rozterkom i niesnaskom w Rzeczypospolitej: była krytyka negaty-  
 wna. W „Votum“ były rady praktyczne, było przygotowanie się  
 do obrony i walki na Wschodzie. W „Pożarze“ slyszymy już o sa-  
 mej walce: widzimy zachęte do nięj: slychać w nim odgłos trąb

wojennych. Dla czego taki tytuł? Dla czego „Pożar“? Tłómaczy to motto z Wergiliusza na tytułowej wypisane karcie: „Jam proximus ardet Ucalegon“ i objaśnia obszernie sam poeta w przypisaniu do księcia Janusza Ostrogskiego. Ucalegonem tym jest Węgrzyn: jego już objęły płomienie wojny straszliwej. Nam się należy mieć na baczności, nam się należy przygotować do walki z niszczącym płomieniem. Ale tu już karcie nie chce poeta, nie chce napominać, bo już zapóźno, bo już nie na wiele toby się przydało: pisze ten poemat dla podniesienia serc. Przepowiada, prorokuje zgubę niewiernych; siedem razy powtarza się jednostajna zwrotka:

Zachodnich królestw wierni bojownicy!

Upaść już, upaść, tureckiej stolicy!

Coś go prze i nakłania do wypowiedzenia tego proroctwa:

Czyni mi niebo gwałt, językiem włada

I piórem mojem, z kądem mnie myśl napada

Pisać te rzeczy, które noc pokrywa“;

i wiem, powiada, że głos mój, jak trąba tyrronska, po całym kraju rozebrzmi, obudzi i zapalem natchnie każdego, któremu chrześcijańskie serce w piersiach bije. Bóg już Chrystusowym hasłem uwłączać nie da:

Jeślić jest ojcem, uprosim go snadnie,

Jeślić jest Bogiem, tedy wszystkiem władnie.

Do czasu tylko cierpiał potęgę niewiernych, jak gdyby na większą dla nas sromotę, z nich chciał mieć skuteczne narzędzie kary. Naszą domową oni urosli niezgodą, więc nie są niczém inném, jeno płodem naszych grzechów i występków. Z chwilą, kiedy chrześcijaństwo się połączy,—poganizm upadnie: bo Opatrzność zawiesiła go tylko jako miecz grozy i pomsty nad nami. Więc dalej razem połączmy się w jedną nierozdzielalną całość; każdego z nas łatwo przelamać, tak jak strzałę osobną: ale któż cały snop strzał skruszyć potrafi? Tak samo nikt nie złamie potęgi połączonych państw chrześcijańskich. Wypędzimy Turków, tam „gdzie są Hirkańskie brzegi“ i „gdzie się bielą kaukazowe śniegi“. Tam na niegościnnych skałach niech sobie rządzi, i swoje sprośne religijne obrzędy odprawia. Zrobimy tak jak zrobili Scytowie z Turyczykami, jak zrobiła Sara z Hagarą: wygnała ją na puszczę, jako nieprawą współuczestniczkę Abrahamowego łoża; taki los jest wszystkich tych, którzy przemocą, czy podstępem, zajmują miejsca, jakich im się zajmować nie godzi. Niema się co bać ich dzielności i męztwa:

„Rycerze poszli z łotrów, a nie bojem,

„Słusznym się wzbili, lecz srogim rozbojem“:

byli oni może straszni dawniej; ale teraz wielożęństwo, rozpusta obyczajów, roznieściły ich dusze i serca? Największa ich chluba i podpora. Janczary, pochodzą z krwi naszej; z siebie Turek nic nie ma, czegoby się można obawiać. Pijani isć muszą do walki,

bo inaczej pierzchnęliby po pierwszym starciu. Cała historia dowodzi, że mieszkańcy Azyatyckich brzegów niewieściami byli i piecuchami a siła i zdrowie na Europejskim obrało sobie siedlisko lądzie. A przecież mimo tej słabości, jakże rozpanoszył się Turek przez nasze leniwo i przez naszą ospałość: już Euxyńskie brzegi posiada, już Greczyn, niegdyś tak potężny, nie sobie a jemu rolę orze, już lada dzień Węgry i Multany uznają jego zwierzchnictwo.

Do nas się zbliża straszliwa pożoga,  
Goście ją! goście! jużci żel dla Boga!

Interes sąsiada staje się interesem naszym, bo jego zguba naszą zgubę za sobą pociągnie:

Jużci to nie żart; nie są wieści płonne:

Już wiążą, biją koło nas postronne.

Słyszemy trwogę; widzimy na oko

Pożar i dymy wyniosłe wysoko.

Pod nos perzynę wiatry nam zanoszą;

Sąsiady palą, ścinają, pustoszą.

Krwią się oblała cała okolica...

Węgry, Pokucie, Wołoska granica.

Nie bójmy się śmierci: „O! jako droga! O! jako jest święta, Śmierć dla bożego Imienia podjęta!” Więc śmiało, rycerzu, weź miecz w ręce obie i krzesaj pioruny na łbach niewiernych. A jeśli strzelasz, nie strzelaj daremnie, nie psuj napróżno prochu i ołowiu, niech za każdym twoim strzałem spadnie jeden łeb pogański. Kap się we krwi, wspominając krzywdy, jakie chrześcijaństwo od niewiernych poniosło:

Wspomnij pomieszane

Świątości z prochem nogami deptane,

Panny gwałcone, kapłany ścinane,

Dziatek pobite, matki poimane,

Wsi popalone, splądrowane domy,

W pogańską stronę zanesione płony,

I lzy daremne więźniów spracowanych,

Schorzałych starców srodze mordowanych,

Sprosną wszeteczność, białogłowskie głosy,

Co przebijały pod same niebiosy etc. etc.

A gdy te pola, na których wy walczyć będziecie, późny dziedzie plugiem będzie przewracał, a po czasie długim zawadzi w rolę: „niechaj szyszaków dobywa, strzał i też grotów, które rdza ru-dawa strawi i zimna butwiałość plugawa. Niechaj ostrogi znajdzie w miejscu oném, co ich zbył rycerz zmieszawszy się z zagonem. Wędzidla, zbroje, janczarskie rusznice, piśmem arabskiem znaczone szablce; coby rzekł albo pomyślił potomny naród, że na tém miejscu on ogromny Turczyn porażon; tu zastęp szalony, co z Bogiem walczył sprośnie położony; to pole grobem saraceńskim wiecznie

będzie służyło. Tu Chrystus koniecznie nieprzyjaciół poraził i skrócił, a swoim wiernym włości ich przywrócił. Niechaj się wali królestwo szatańskie, niech się fundują regimenty pańskie“. Jest w tém wszystkim siła wielka i zapal ogromny, jest większa niż gdzieindziej staranność o tok wiersza i o rymy; ale jest także, tak jak i wszędzie owo roztrągnięcie myśli, zbaczającej w najróżniejsze kierunki, jest gadatliwość i rozwlekłość, jest powtarzanie się i rozwadnianie tego, co się już aż nadto wyraźnie i obszernie powiedziało.

Kiedy wyszła „Victoria Deorum“, ten monsturalny poemat (jeżeli się go godzi poematem nazwać) o wszystkim, co się pomyśleć da, tylko nie o tém, co zapowiada tytuł, — na który rok przypada jego ukończenie (bo pisanie trwało bodaj lat kilkanaście)?, kwestya do dziś dnia nie bardzo jasna; bo chociaż profesor Garlicki osobną roztrząśnieniu tego pytania poświęcił rozprawkę, do stanowczych jednak nie doszedł rezultatów. Książka wyszła bez miejsca i czasu wydania: Załuski pierwszy, nie uzasadniając przyjął (dla okrągłości zapewne) rok 1600 — za nim poszedł Wiszniewski. Maciejowski dopatrywał się w poemacie jakiejś aluzji do rokosz Zembrzydowskiego i wyrozumiał, że nie wcześniej został napisany jak w 1605 (t. j. we trzy lata po śmierci Klonowicza); Mierzyński podaje rok 1595, opierając się na wzmiance w dedykacji, pozwalającej mniemać, że poeta powziął zamiar napisania poematu podczas moskiewskiej wojny Batorego (1579—1582), i na wiersz o Akademii Zamojskiej (założonej w 1590), tudzież o synu Zygmunta, Władysławie, jako niemowlęciu (ur. 1595). Jedno tylko stoi temu twierdzeniu na zawadzie, że w niektórych przechowywanych egzemplarzach znajduje się, obok niedatowanej dedykacji Gorajskiemu, dedykacja Mikołajowi Firlejowi z datą 1587. Profesor Garlicki przypuszcza jakieś dwie redakcyje poematu, odebranie z drukarni rękopismu napół wydrukowanego etc. Czy nie byłoby o wiele prościej przypuszczać, że Klonowicz pierwszą dedykacją napisał przed zaczęciem poematu, a drugą (kiedy Firlej w czasie pisania Victorii umarł) po jego skończeniu?

Wiele razy u nas mówi się o „Victorii“ albo pisze, powtarza się zawsze bez krytyki i bez uwag zdanie Kraszewskiego, że to jest „sturamienna satyra, głową w starożytnych niebiosach Grecyi i Rzymu, nogami na naszej ziemi stojąca, odbijająca naprzemian to obrazki poetycznego świata umarłego, to żywe życie swojego wieku“. Zwłaszcza ta „sturamienna satyra“ zyskała sobie stałe prawo obywatelstwa we wszystkich dziełach i broszurach, czy o historii literatury w ogóle, czy o Klonowiczu w szczególności. Przypatrzwszy się „Victorii“ (co nie jest rzeczą bardzo przyjemną), sami będziemy mogli osądzić trafność tego frazesu.

Są tacy, którzy dopatrują się w „Victoryi“ jakiegoś planu, jakiegoś układu, jakiejs myśli przewodniej: profesor Mandybur w rozprawie o wpływach rzymskich satyryków na polskich uczenie dowodzi, że jest ona ułożona zupełnie na wzór osmej satyry Juwenalisa; my przyznajemy się, że ani téj myśli, ani tego układu dopatrzeć się nie byliśmy w stanie: a jaka ta myśl przewodnia ma być, dowiedzieliśmy się tylko z tych słów dedykacji: „Ten jest dobrze urodzony, kto dobrze żyje, ten zaś dobrze żyje, czyja śmierć zaszczytna jest i zbawienna; cała nasza książka do tego zdąża, żeby wykazać, jak możemy dobrze żyć i dobrze unierać“. Dobrze, że choć z dedykacji dowiadujemy się o tém, co ma być udowodnione w poemacie,—bo bez tego trudno by to było odgadnąć.

Starajmy się podać jaknajkrótszą chociażby treść, o ile się taka rzecz w przybliżeniu da zrobić, dla nabrania jakiegokolwiek wyobrażenia o tym poemacie.

Ludzie dzielą się na złych i na dobrych, na głupich i mądrych: dobrych i mądrych zrodził Jowisz, złych i głupich Neptun. Do pierwszych należał Herkules (opowiedziane jego życie)—przeciwko drugim poeta zamierza podjąć walkę, chociaż już widzi śmiech czytelnika; pociesza go jednak przykład Dawida, który choć słaby, potężnego powalił Goliata. Goliat, (zapewne on, bo cóżby innego) nasuwa mu na myśl polską szlachtę: ten tylko może być szczęśliwym szlachcicem, komu pomyslna przy urodzeniu zaświeci gwiazda. (Co to znaczy?) Dwojakie jest szlachectwo: fałszywe i prawdziwe; prawdziwe jest oparte na cnocie i pracy, fałszywe jest to, któremu na cnocie i pracy zbywa. Otóż nie mając nic przeciw pierwszemu, przeciwko drugiemu obiecuje poeta walczyć; ale zanim obietnicy dotrzyma, powie zkąd się szlachectwo wzięło. Już zwierzętom wrodzony jest instynkt wyróżniania pewnych zdolniejszych z pomiędzy siebie osobników, żeby mniej zdolnemi kierowały: dowodem zórawie, które wybierają sobie wodzów. Tak samo ludzie, jedni są stworzeni do posłuszeństwa, bo są słabi i głupi, drudzy do rozkazywania, bo są odważni i rozumni. (W nawiasie zaznaczamy, że to jest owo niezwykle zapatrywanie się demokratyczne Klonowicza na cały ustrój społeczny, że to jest owa reforma, nad którą szeroko rozpisuje się w swojej literaturze Spasowicz). Otóż, kto ma rozkazywać, kto jest szlachcicem (nobilis od nosco, a więc znacznym), ten powinien mieć za podstawę cnotę, a za pomocnice do niego (adiumenta—co to znaczy?) powinien sobie obrać sztuki wyzwolone, a w dodatku, musi być dzielnym i odważnym w boju i mieć pogardę śmierci, bo jego obowiązkiem jest ojczyznę zdobić i bronić, a cnoty towarzyskie łączyć z nauką. „Szlachcic, za popeędem swojej natury, jak płomień, ciągle w górę wzbijając się musi, zawady usuwać, gardzić tém, co jest łatwe i powszednie, pomnażać nauką wrodzone dary, a starzejąc się i będąc coraz mędrszym przez doświadczenie, walczyć z naturą i z losem. Wreszcie z sła-



wą u boku na wieki pozostać powinien: a wtedy przeciwności zamienia mu się w pomyślność, bo same niebios wyroki czuwającą mądrością zwycięży, niechętną fortunę i gwiazdy pokona, byleby z Bogiem i z cnotą dzieło rozpoczął“ (Tłomaczenie Kraszewskiego) Prawdziwy szlachcic naśladować powinien Chrystusa (ewangelia w skróceniu wierszem opowiedziana) i świętych pańskich (żywoty świętych, jeżeli nie w komplecie, to chyba nie wiele brakuje).

Rozdział piąty zyskał Klonowiczowi tę ogromną sławę, że o całą głowę współczesnych swoich przerosł w zapatrywaniach socyalnych. Dowodzi w nim bowiem Klonowicz, że urodzenie nie wystarcza do szlachectwa prawdziwego, bo przecież „wtedy, gdy dziecię pierwszych wieków, Adam, z jedną tylko żoną pod gołem niebem błędził po nocy wśród pustych pól, lub na łożu z murawy spoczywał w miłym cieniu, nie było różnic między ludźmi“. Otóż takie same zapatrywania socyalne w XVI wieku a i przedtém miał każdy ksiądz, który z kazalnicy głosił równość wobec Boga i opowiadał o pochodzeniu od wspólnych rodziców i każdy chrześcianin, który w to wierzył. Klonowicz chce udowodnić, że początek szlachty był taki sam jak nieszlachty,—tylko że szlachta, zawdzięczając wyróżnienie swoje wyższości moralnej i etycznej, na tój wyżynie utrzymać się powinna. On powiada tylko, że nie jest dobrym szlachcicem ten, kto nie jest cnotliwym, —ale nigdy nie odważył się na wypowiedzenie tego (o czém może nawet i nie myślał), że cnotliwy plebeusz równa się wobec praw cnotliwemu szlachcicowi. Ież to razy można się spotkać, w XVI wieku z tą samą zasadą, (która nie jest niczém inném, jak bardzo zresztą arystokratyczném i szlacheckim: „noblesse oblige“) — wypowiedaną przez szlachtę, której demokratyczna idea równości żadną miarą nie powstała w głowie. Czy to się zresztą zgadza z całym Klonowicza charakterem, który żył w otoczeniu tój szlachty, opiekującej się nim, który tój szlachcie panegyryki pisał, który samą Victorią zadedykował Firlejowi i Gorajskiemu. Przestraszyłby się zapewne sam, gdyby wiedział, na jakiej idei bojownika pasował go Kraszewski, imaginacją uzupełniając to, czego się w poemacie dopatrzyć nie mógł: to zaś, że za Kraszewskim przez czterdzieści pięć lat powtarzali to samo wszyscy, —tłómaczy się chyba tém, że nikt, nie tylko nie miał odwagi zajrzeć do poematu samego (co zresztą dałoby się ostatecznie pojąć), ale nawet nie zadał sobie trudu przeczytać tego streszczenia i tych wyjątków, które sam Kraszewski w swoim studyum podał.— Jest ono tak szczegółowe, wyjątki tak obszerne, że przy czytaniu już uderza, jak można było, z tego, co jest w poemacie, do tak fantastycznych dojść wniosków.

Wszystkie przykłady, jakie w ogromnej liczbie następują, mają właśnie dowodzić owych początków szlachectwa,—o ile one wogóle czogoś dowodzić mogą, a nie są wierszowanemi ćwiczenia-

mi w opowiadaniu na dowolne temata. Więc po tym przykładzie Adama, który przytoczyliśmy, jest przykład Abrahama, Mojżesza, Samuela, Dawida, wogóle cały stary testament; wszyscy oni z niskiego pochodząc rodu zdobyli sobie przez własne cnoty szlachectwo. Dalej tego samego dowodzić mają przykłady z mitologii: Jowisza, Oryona, Caecula itd. itd; potem z historii: Cyrusa, Agatoklesa, Tulliusa Hostiliusa; Tulliusa Serwiliusa, wreszcie nawet Piasta i Leszka drugiego. Co więcej—cnota miała swoje znaczenie, że (w początkach rozwoju ludzkości) nawet nieprawne urodzenie nie przeszkadzało do wybicia się po nad tłum, jak tego dowodzą historye Herkulesa, Achillesa, Eneasza, Romulusa i Remusa. Ród—szlachectwo rodowe nie jest samo przez się pewne i stałe; trwałości nabiera dopiero przez zespolenie się ściśle z dziedzicznym szlachectwem cnoty. Nie tylko familje, ale narody całe zdegenerowały się; czy dzisiejsi Żydzi naprzykład, są chociaż w części podobni do dawnych świętych patryarchów; czy nie upadła monarchya assyryjska, czy nie upadła Troja, Persya, Macedonia, Ateny, Sparta, Kartagina, Rzym (państw tych historia detalicznie opisana). Myli się Horacy, kiedy utrzymuje, że z dzielnych tylko dzielni rodzić się muszą, zaczerpnawszy przykład ze zwierząt: tu się nie mówi bowiem o degeneracyi fizycznej,—ale o moralnej, której zwierzęta podlegać nie mogą, bo nie mają duszy...

Nie podobna iść krok w krok śladem całego poematu: ile to być może, dokonał tego Kraszewski, podając treść nadzwyczaj obszerną; doniego też odsyłamy czytelnika. Opowiedzieliśmy początek dla pokazania tylko, jaki jest tego poematu rodzaj i charakter; zdaje się być rzeczą dosyć widoczną, że w tém wszystkim, cośmy dotychczas przejrzeni (a jest tego już rozdziałów siedmnaście), niema ani śladu satyry, a bardzo niewiele jest śladów owych tak oryginalnych i okrzyczanych Klonowicza o stosunkach socyalnych pojęć. Przedstawiają się one bardzo zwyczajnie i skromnie: przeciwko pogardzie rodu wyraźnie zastrzega się Klonowicz w całym rozdziale XXII, którego wystarczy sam nagłówek przytoczyć, żeby się o tém przekonać. „In quo (w tym rozdziale) respondetur illorum incitae obiectioni, si qui forte existimaverint, nos universum damnare splendorem generis antiqui, et autoritatem veterum familiarum. Quod quidem propositi nostri non est, deferimus enim maiorum virtuti et meritis, deferimus illorum generi et sanguini, deferimus inveteratae opinioni de familiaris bonorum virorum antiquitus conceptae“. Tylko widzi, że między tą szlachtą rodową są tacy, którzy na to szlachectwo nie zasługują, są szlachciami tylko z imienia, bo szlachectwo, jak to jego historia i początek dowodzi, przedewszystkiem oparte jest na intelektualnej i etycznej wyższości: kto jej niema, ten jakoby to szlachectwo traci, ten się degeneruje i niema prawa przewodzenia w narodzie. Otóż, żeby téj degeneracyi szlachectwa zapobiedz, czy-

li, żeby szlachectwo rodowe łączyło się ściśle ze szlachectwem moralnym, trzeba zreformować sposób i tryb wychowania młodzieży szlacheckiej, która wcześniej już powinna się nauczyć, jak ma żyć, a żeby przodków swoich być godną. W tym celu Klonowicz podejmuje swoje dzieło, które nie jest niczym innym, jak pedagogicznym traktatem, co zresztą zapowiada sam tytuł w dalszym swoim uzupełnieniu (*Victoria Deorum, in qua continetur veri herois educatio*). Otóż temu wstępowi, temu zapowiedzeniu, o czém poemat ma traktować, poświęca Klonowicz dwadzieścia dziewięć rozdziałów, udowadniając szeroko i obszernie to, co udowodnienia bynajmniej nie potrzebowało, bo wszystkim doskonale było znane. Takie pojęcia miał każdy rozumny człowiek, każdy szlachcic ostatecznie nie zaslepiiony; takie same miał i Klonowicz. Nie przeszło mu ani przez myśl walczyć w obronie równości prawnej przeciwko szlacheckim przywilejom, wyłącznemu udziałowi w rządzie, nawet przeciwko tej kastowości, w jakiej zamykała się szlachta. Cała jego „postępowość“ ograniczała się do tego, że przy sposobności występuje w obronie chłopów, skarży się na ich bezgraniczny ucisk, przypominając, że to przecież także ludzie. Szlachta na to jest szlachta, żeby przewodniczyła moralnie cnotą i rozumem, a nie jest ani cnoty, ani rozumu dowodem ucisk ludu wiejskiego. Ale to ujmowanie się za tym ludem nie jest objawem wyjątkowym: takie głosy są nader częste: prawie każdy rozumny człowiek o tém wówczas mówi i na to się użala. Zadziwiającem byłoby już, gdyby się odważał występować przeciwko poddaństwu, przeciwko tej niewoli osobistój:—ale to nawet w głowie nie powstało Klonowiczowi;— owszem, w „*Votum*“ wskazuje, jako jedno ze źródeł dochodów skarbowych, karę za zabicie poddanego,—karę, która, jak wiadomo, była tak mało znaczącą, że od wykroczeń tego rodzaju żadną miarą powstrzymać nie mogła.—Zdaje się, że to wystarczy, aby pokazać, jak przekonania Klonowicza były zwyczajne, jak niczem nad swój czas nie wystrzelały,—i jak po prostu na śmieszność narażają się nasi historycy, przyjmując za naukowe pewniki to, co wypoetyzował Kraszewski.

Przystępując do właściwej treści poematu, nadmienimy, że Klonowicz uderza naprzód na zagnieżdżony w owym wieku zwyczaj oddawania dziecka mamkom, w czém widzi główną przyczynę przedradzania się, bo „nie wątrobę, nie soki, które pierś daje, wysysa dziecię, ściskając ją wargami, lecz samo życie i żywotne duchy (?), umysł, uczucie, ciągnie z łona matki“. Na wrażliwym umyśle dziecka z wielką łatwością odbija się wszystko; ztąd ogromne dla przyszłości niebezpieczeństwo z obcowania z najemnymi niańkami, których zepsute obyczaje nadzwyczaj zgubne wywierają wpływy. Gdy chłopiec podrośnie, należy go oddać dobremu nauczycielowi pod opiekę, — któryby umiał, jak doświadczony rolnik, zbyteczną bujność roli

powstrzymać, a nieurodzajność poprawić. Następują szczegółowe przepisy, jakich autorów trzeba z młodzieńcem czytać, jakich nie (do tych ostatnich należy Marcyalis, Anakreon, Mimnermos, Elefantyda, Safona, i Owidyusz w Amores). Ale ważniejszą rzeczą od autorów jest dobór towarzystw, jest pilność, z jaką trzeba strzedz rozmów jego i czuwać nad wyrabianiem się jego pojęć. Zarówno trzeba dbać o rozwój fizyczny; więc pożywienie powinno być doborowe, potrawy z płodów ojezycznych w umiarkowaniu podawane: potrawy zagraniczne bowiem, w wielkiej używane obfitości, niestrawne są i szkodliwe, można się nabawić kataru żołądka (traktat medyczny o sposobie leczenia téj choroby). To wszystko wierszem. Żeby rozwinąć siły i zapewnić zdrowie ciała, najbezpieczniej i najlepiej jest szlacheckiemu dziecku wychowywać się na wsi. Wychowanie takie bowiem chroni od zniewieściałości, — a przez bezpośrednie zetknięcie się z przyrodą zaprawia do spostrzegawczości i bystrości umysłu, wzbogaca doświadczeniem. Trudy i znoje (na polowaniu naprzykład) zaprawiają do pokonywania przyszłych trudów wojennych, na jakie prędzej czy później szlachcic narażony zostanie. — Kiedy już wyjdzie z chłopięcego wieku, winien zaprawiać się w sztukach wyzwolonych, więc w matematyce, fizyce, filozofii naturalnej (Arystotelesowej), anatomii, filozofii moralnej, jursprudencji i nauce rządzenia; nie godzi się zaś oddawać zajęciom nazwanym przez poetę: artes prohibitaee, jako to: kramarstwu, pieczeniarnstwu (to także ars), aktorstwu, sztukiom akrobatycznym, ludokradztwu, kuplerstwu, czarnoksięstwu, wieszczbiarstwu, astrologii, sztuce przepowiadania snów i przepowiadania przyszłości, alchemii, lichwie, i—grze w kości. Najzaszczytniejszém i najstosowniejszém dla szlachcica zatrudnieniem jest bez wątpienia rzemiosło wojenne, którego nie może się nachwalić; w czasie pokoju na odpoczynek można się wziąć do rolnictwa i do życia publicznego, do uprawiania ojezystej gleby i radzenia o dobru Rzeczypospolitej. To jest treść główna, to jest jéj jądro, to jest przedmiot „Victorii Deorum“. (Porównać rozprawę prof. Garlickiego).

Gdzie tu jest satyra, — i w dodatku jeszcze sturamienna? Tylko w dygresyach, tylko we wtrąconych epizodach, które w stosunku do całego poematu bardzo niewiele zajmują miejsca <sup>1)</sup>. Wziąwszy pod uwagę objętość dzieła nie będzie ich wcale więcej jak naprzykład w Roxolanii (gdzie była filipika przeciwko żydom i przeciwko pijaństwu). Żydom nie darowuje nigdzie, szarpie ich mi-

<sup>1)</sup> Bardzo niedawno zwrócono na to uwagę w warszawskiej „Roli“ w artykule p. t. „Antysemita XVI wieku“. Artykuł tendencyjny nie ma wartości literackiej.

mochodem w Goraidzie, szarpie i w „Victorii“. Im pierwszą satyryczną w rozdziale czternastym poświęca dygresyą. Przełożył ją wierszem ks. Kantecki:

Tu żydowin, z całego wyświecany świata,  
Tyle wśród naszych murów nagromadził złota,  
Że go zliczyć nie może, więc na korce mierzy;  
A jednak w ciągłej trwodzi musi żyć niecnota.  
I chociaż w jego skrzyni pełno skarbów leży,  
Nigdy śmiało nie spojrzy przechodniowi w oczy,  
Tylko wzrokiem lęklivym wciąż po ziemi toczy.  
Za to miasta bogate umięd lichwą łupić,  
I nikt mu nie wyrówna w ciągnięciu korzyści;  
I choć wodę, powietrze, spokój musi kupić,  
I chociaż go zdzierają przedajni juryści,  
Ma się za co okupić, królom się opłaci,  
Ma czędm drugich oszukać i sam się bogaci.  
Myśli chytry starosta, że odarł lichwiarza,  
Oblicza zysk, a owo sam wpał w jego sidła etc.

W rozdziale dziewiętnastym występuje przeciwko rozwiązłości obyczajów: „Człowiek brzydki, bezwstydnym, człowiek chciwy, pożądnik miłości i łoża sąsiadów, rozwiązlejszy jest od wszystkich zwierząt, kradnie miłość w pocałunkach matek, własny swój ród plami i do prawych dzieci mięsza na pośmiewisko i mieszańce, dzieciów matczynego bezwstydu etc.“ Albo: „Uwodziciele! Nie żał wam losu uwiedzionej dziewczyny, którą miłując zdradziliście, której się naprzykrzyliście darami i umysł bojaźliwy siłą, prośbami, obietnicami, zdradą, igraszkami pokonaliście, albo, co gorzej, nieraz walcząc dobijaliście się miłości. Ta biedna płacze, schnie i lży leje prostoduszna dziewczyna, zwiedziona od przebiegłego mężczyzny, nieszczęsne łono wznoszące się pokrywa i tając swą hańbę unika ludzkich oczu“. A kiedy przychodzi do opisania chorób z rozpusty wynikłych i podaje na nie środki lecznicze, — jest tak obrzydliwy, że trudno pomyśleć sobie coś ohydniejszego, ubranego w toczono i gładkie heksametry.

W innych miejscach uderza na zbytek w pokarmach i strojach, na tłumy darmożjadów, trzymających się klamki magnackiej, na głupią pychę szlachetki chudopachołka, który królowi chce w sposobie życia dorównać; gdzieindziej (parekroć razy) obwinia duchowieństwo o chciwość i łakomstwo na dobra doczesne. (co zapewne połączone z chęcią wywarcia zemsty za Akcyą, zjednało Victorii potępienie w sławnym epigramacie: „Quid praemii versibus tam dignis, nisi carnifex et ignis“?) Wcale dobre są dwie sylwetki: starca, zalecającego się do młodych dziewcząt i młodzieńca, marnotrawiącego majątek w nadziei bogatego ożenienia się. Wre-

szcie występuje Klonowicz przeciwko bezkarności, jakiej doznają złodziejstwa, na wielką skalę przez potężnych i wpływowych popełniane, i żali się że tylko złodzieje z plebejuszów pochodzący znajdują słuszną za swoje przewinienia karę. Do tych kilku ramion, ta „sturamienna“ ogranicza się satyra,—i to satyra, napisana dość słabo: dlaczego słabo, będzie sposobność powiedzieć przy „Worku Judaszowym“, któremu intencji i nazwiska satyry żadną miarą odmówić nie podobna.

Teraz wypada nam wytłomaczyć, co znaczy tytuł: „Victoria Deorum“, nie mający na pozór żadnego z treścią związku. W XXXIX rozdziale jest przytoczony męt o walce Gigantów z Bogami: otóż z Bogami łączy się ściśle pojęcie cnoty, która zawsze i wszędzie zwyciężać i mieć pierwszeństwo przed wszystkiém inném powinna. Ztąd tytuł.

Na zakończenie, trzeba dodać, że „Victoria“, z wielkim mozołem i pracą przez lat kilkanaście układana, bardzo płynnym i gładkim napisana heksametrem, należy do najmniej znaczących dzieł Klonowicza, służyć może tylko za dowód, jak mało Klonowicz miał na poetę gustu i smaku artystycznego, jaki to był umysł rozszarpany i mętny, kiedy takie dziwolągi z siebie jak ta „Victoria“ wydawał <sup>1)</sup>.

## VIII.

W roku 1598 przerywa się cichy i spokojny żywot Klonowicza na wsi nowemi zajściami z teściową. Tym razem żona, dotychczas w tych wszystkich procesach i sporach zajmująca stanowisko wyczekujące, łączy się ze swoją matką. Rzecz się tak miała. Kiedy Klonowicz (jakiemiś drobnymi sprawami, prawdopodobnie w interesach swoich pupilów, których miał w Lublinie licznych) do miasta pojechał, żona (podczas jego nieobecności) uprowadza z Józze-

<sup>1)</sup> Z tej epoki pochodzą także wszystkie prawie przekłady broszurek religijnych i politycznych, dokonane z polecenia księdza Wereszczyńskiego. Bibliografowie nie zgadzają się z sobą co do ich liczby: oto tytuły tych, o których jakąkolwiek mogłem powziąć wiadomość:

- 1) Adhortatio ad Regni Poloniae proceres et ordines omnes.
- 2) Suffragium de eligendo rege.
- 3) Regula id est institutio seu cursus vitae cuiusque regis Christiani.
- 4) Reguła błog. i Bogu upodobanego Benedykta św.
- 5) Dworstwo obyczajów dobrych.
- 6) O cnocie albo żywocie człowiekowi przystojnym.

fowa nierogaciznę i drób, — uwozi zboże i sprzęty i ucieka do Lublina, rozmijając się z mężem w drodze. Ztąd naturalnie procesy, ztąd stanowcze zerwanie stosunków z obiema paniami, które zatruły pocie życie. Całą swoją miłość przelał on teraz na jedynaczkę córkę, Zuzannę; i z tą się jednak rozłączyć wkrótce musiał, kiedy wyszła za mąż za Szymona Lwowczyka, złotnika. Na uroczystość jej zaślubin zapewne napisał pod jej imieniem poemacik, o którym mówi Starowolski, ale który do naszych czasów nie doszedł.—Przygnębiła go także pewnie niepospolicie śmierć Wereszczyńskiego w roku 1590, stracił bowiem w nim możnego i wpływowego opiekuna, rozumnego doradcę i szczerego przyjaciela. Na razie materialnych prawdopodobnie ta śmierć mu strat nie przyniosła, (choć tak się domyśla pan Detmerski, — bo dzierżawę swoją i nadal zatrzymał; — nie miał już pewnie jednak tych wszystkich ułatwień ze strony klasztoru, których niewątpliwie za życia Wereszczyńskiego używał. — To też po tych wypadkach nic już prawie nie pisał; wydał tylko w 1600 roku wcześniej prawdopodobnie napisany „Worek Judaszów“, dedykując go przyjacielowi Lichańskiemu. W tym samym roku witał nowego opata Sieciechowskiego, Sulikowskiego, łacińską oracyą, pod względem formy bardzo mierną, którą Benedyktyni wydali w roku 1602 może już po śmierci poety. „Worek Judaszowy“ z pozoru i w rzeczywistości niczém inném nie jest, jak tylko suchym traktatem prawniczym o kradzieży. Za punkt wyjścia służy prototyp wszystkich zbrodni: Judasz, który pod pozorem zbierania jałmużny dla Chrystusa, składa do worka pieniądze na korzyść własną. Worek ten, opowiada Klonowicz, zszyty jest ze skór czterech: wilczej, lisięj, rysiej i lwiej. Ztąd też całe Judaszowe na świecie pokolenie do tych czterech zaliczyć można kategorie: jedni potajemnie, ukradkiem wchodzą po nocy do mieszkań ludzkich i wynoszą ztamtąd nieruchomości, drudzy oszukują pod najrozmaitszymi pozorami nieopatrznych i łatwowiernych, inni zdradzają położone w nich zaufanie, jawnie i bezczelnie zajmując własność drugich, inni nareszcie, gwałtem i przemocą wydzierają słabym i bezbronnym ich mienie i włości. Taki jest ogólny podział „Worka“, w części pierwszej wykończonego bardzo obszernie i dokładnie, w dwóch drugich opracowanego pobieżnie; czwarta część prawie nietknięta, pod pozorem, że strach o tój skórze mówi, a zakończona rodzajem modlitwy czy czegoś podobnego. Ma to być bezwątpienia satyra: w kilku miejscach zaznacza to wyraźnie Klonowicz, że pisze ten poemat w tym celu, aby ludziom ich błędy i wady pokazać, aby ich na dobrą drogę nawrócić.

Tylko że jeżeli to jest satyra, to jest to jej jakiś rodzaj odrębny. Dwie są drogi po których zazwyczaj kroczą satyrycy. Jedni (jak Horacy naprzykład w starożytności, a Krasiński u nas) walczą przeciwko ludzkim występkom dowcipem i sarkazmem; inni (jak Juwenalis i Opaliński) gromią i piorunują z oburze-

niem na zepsute obyczaje. Klonowicz nie robi ani jednego, ani drugiego: on z fotograficzną dokładnością zdejmuje obrazki obyczajowe, najczęściej nad nimi żadnych nie robi uwag, a jeżeli robi, to czyni to z widocznym przymusem. On bez ironii i oburzenia na tych złodziei i oszustów patrzy, on się im tylko ciekawie przygląda. Można by powiedzieć, że podobnie jak zwolennik naturalistycznej szkoły naszego wieku, Klonowicz „dokumenta życiowe“ zbiera i obiektywnie je przedstawia, chce zapewne, żeby czytelnik sam wyrobił sobie zdanie o wartości moralnej jego bohaterów. Tam tylko jest innym, wpada w prawdziwy szal odurzenia, gdzie mówi o żydach lichwiarzach, tu daje folgę wezbranemu uczuciu, wymieniając nawet nazwisko jakiegoś Fixla, który się pewnie samemu pocie dobrze dał we znaki. Worek jest bardzo ważnym pomnikiem wieku szesnastego, historyk cywilizacji znajdzie w nim mnóstwo nieocenionych szczegółów, których gdzieindziej darmoby szukać się starał, szczegółów z życia klas niższych, ze sfer miejskich zarówno w stosunkach prywatnych jak i publicznych. Przed oczami czytelnika przesuwa się cały szereg postaci, odmalowanych barwnie i żywo (tego odmówić Klonowiczowi nie podobna, że ma dar doskonałego charakteryzowania postaci i nadzwyczaj ożywionego opowiadania); widzimy tedy: tabory cyganów oszukujących, kradnących, czyniących czary i przepowiadających przyszłość, widzimy figury wielkie w małym miasteczku: to burmistrz z powagą rozsądzący znaczne sprawy, odwołany przez pierwszego lepszego, który żąda od niego koni na podwodę, to znów handlarze ludzi, namawiający i uwodzący z sobą do Tartaryi młodzieniaszków i dziewczyny; to znów cały prawie żywot próżniaka, który z pieczeniarza powoli stał się zbrodniarzem; widzimy cały akt wieszania ze wszystkimi szczegółami opisany; przypatrujemy się całej zgrai żebraków, wyludzających od przechodniów pieniądze na zmyśloną podróż do cudownego miejsca. Są nawet tacy, którzy nie wahają się zmyślać jakieś o cudach historye, łatwowiernych ściągając do jakiegoś najzwyczajniejszego obrazu i ogromne summy tytułem ofiary od nich pobierać.

Cudzołożna żona, gachowie jój i mąż nieopatrzny, składają się na smutny obraz domowego życia. Pan Mierzyński chce z tego ustępu wyciągać wnioski, jakoby z własnej żony Klonowicz brał wzór do kopiowania. Przypuszczenie, co najmniej, nieuzasadnione a może i krzywdzące panią Agnieszkę, o której wiemy tylko tyle, że była kłótliwa i dokuczliwa, co zapewne po swojej matce odziedziczyła. Wyrzekania na lichwę i lichwiarzy, i rozmaite tych ostatnich gatunki, zamykają ostatnie to z dzieł Klonowicza, zaczęte na wielkie rozmiary, — skończone, aby zbyć — nie poemat bynajmniej, ale galerya bardzo zresztą ciekawych i zajmujących obrazków obyczajowych, kreślonych nie bez talentu. Jako całość, jest to naturalnie wszystko posklejane najdziwaczniej i naj-



nienaturalniej w świecie, przeplatane suchymi traktatami prawniczemi i przestrogami dla sędziego, jak ma w takim, a w takim postępować wypadku. Wiersz jeszcze łatwiej Klonowiczowi płynie tu, niż gdzieindziej, ztąd, jeszcze więcej go zaniedbuje. —

„Victoria“ i „Worek“ stanowią już trzecią epokę i zarazem ostatnią w działalności pisarskiej Klonowicza. Pierwsza, z której wyszła Roxolania, Żale i Flis, poświęcona była wyłącznie produkcji artystycznej, chodziło o literacką rewolucyę, o wprowadzenie nowych pierwiastków, do polskiej poezyi. Druga, w której wydaje pisma wyłącznie treści politycznej lub polityczno-polemicznej: po większej części jest tu tylko Klonowicz odgłosem cudzych natchnień, Wereszczynskiego lub Gorajskiego, pierwszego w *Votum* i *Pożarze*, drugiego w *Akcyi* przeciw Jezuitom. Trzecia wreszcie, to dzieła treści pedagogicznej i moralnej, „Victoria“ i „Worek“, na których znać już zmęczenie pióra, niejaką skłonność do mistycyzmu, pesymizm w zapatrywaniach coraz większy, zaniedbanie coraz widoczniejsze. Zresztą, nie było i czasu dzieł tych, — zwłaszcza ostatniego — poprawiać i wykończyć: nowe procesy zwały się pocie na głowę. Zakonnica Elżbieta wystąpiła z ogromnemi pretensyami, a tymczasem pieniądze się wyczerpały, zapewne Józefowskie gospodarstwo źle poszło, nakłady się nieopłaciły; trzeba było kamienicę wislicką sprzedać. Znalazł się nabywca w osobie Jana Śladkowskiego. Nie mógł być już Klonowicz przy spisaniu kontraktu kupna, w drodze bowiem do Krasnegostawu (gdzie mieszkał Śladkowski) zachorował. Zięć musiał oddać go do szpitala, bo nie było komu go pilnować, z żoną stosunki nie były jeszcze naprawione, na wsi na żadną opiekę liczyć nie było można, a Benedyktyni krzywym zaczętni patrzeć okiem na rozpierającego się przy nich dzierżawcę: Lwowczykowie zaś sami jechać musieli do Krasnegostawu, żeby chorego ojca przy spisaniu kontraktu sprzedaży zastąpić. Takim zapewne szczególnym trafem dostał się Klonowicz do szpitala Jezuitów, przeciwko którym tak zawzięcie i gorąco występował. Tu, jak podaje Wielewicki, pojednawszy się z Bogiem, Jezuitów przeprosił: żałował za swoje względem nich postępowanie. Tu napisał prawdopodobnie testament dla córki, pełen goryczy, bo mógł w nim przekazać tylko pretensye swoje i słuszne roszczenia: czuł, że to, co ma, pójdzie na marne z jego śmiercią. Józefów już i tak pewnie za stracony uważał, i wiedział, że pieniądze ze sprzedaży domu za ledwie na pokrycie długów wystarczą. Tu też dnia 29 sierpnia 1602 roku w nocy życie zakończył pochowany przy kościele parafialnym św. Michała. Krewny jakiś Klonowicza, Kajeb, wystawił mu tablicę marmurową, na której położył napis przez Klonowicza ułożony:

Corpore dum vivo, meditabor mente sepulchrum;  
Corpore dum moriar, mente superstes ero,

Et licet exstinguar, lumen mihi reddet Jesus.  
Sic mihi mors lucrum, sic mihi vita mors est.

---

Takie było życie i tak wyglądają pisma poety jeżeli nie najlepszego po Kochanowskim, to przynajmniej najślawniejszego po nim w wieku XVI. Życie pewnie nie po różach mu szło, ale też nie było tak straszne, jak to w naszych czasach opowiadają; cieszył się zaufaniem współobywateli, doznawał opieki możnych i wpływowych, nigdy nie wiedział, co to nędza. Gdyby nie kłopoty familijne i ciągle procesy, z których do śmierci wybrnąć nie mógł, — należałby pewnie do tych, którzy się za szczęśliwszych na tym padole płaczu uważać powinni. Wszystko to, co mówi się i pisze o tém prześladowaniu Jezuitów, jakiego za Akcyą i Victorią miał doznać, należy do bajek nieuzasadnionych żadnym poważnym nawet przypuszczeniem. Tak mało mamy jednak szczegółów, dotyczących jego biografii, że bardzo trudno jest powiedzieć, jaką była dusza tego człowieka, co czuł, jak myślał, jaki miał charakter, jakie usposobienie. Gdybyż choć z pism jego można to było poznać. W nich jednak przebija się tylko jedno silniejsze uczucie, nienawiść żydów; po za nią—ani z nich wiemy, ani się domyślać możemy, jaki ten Klonowicz był. On jak gdyby starannie w pismach swoich wewnątrz własnej duszy zakrywa, albo komunały mówi bezbarwne albo opowiada i opisuje coś tak obojętnie i obiektywnie, że żadną miarą nie można się w nim niczego więcej dopatrzeć, jak tylko tego, że mamy do czynienia z zimnym obserwatorem. Prawda: kocha bardzo swój naród i swój kraj, kocha prawie namiętnie: ale to także przecież indywidualną nie może być cechą; prawie każdy polski pisarz to samo dzieli z nim uczucie. Nienawiść Jezuitów, jaką wybucha w Akcyi, nie jest wskazówką bardzo pewną; wpływy obce są na nią bardzo widoczne. Czyż jednak dałyby się z tego wyciągnąć jakie wnioski o zapatrywaniach religijnych poety? Z początku katolik gorliwy; w Roxolanii oburza się na protestantów, że nie zachowują postów, później w tej gorliwości swojej znacznie słabnąć zaczyna. Otwarcie proteztantem pewnie nie został; że jednak dzielił ich przekonania, można się domyślać. W Goraidzie, mówiąc o tym Gorajskim, który pierwszy protestantem został, chwali go, że był niezmiernie nabożnym i że dnie na rozważaniu Pisma świętego spędzał. Później na starość, w trzeciej epoce swojej twórczości, zaczyna wierzyć we wpływ gwiazd na losy ludzkie, bawi się w długie i niejasne mistyczne traktaty,—ale umiera znowu jako katolik wyraźny, przez Jezuitów nawrócony i rozgrzeszony. Nie dziwi to, że Wereszczyński tym protestanckim wpływom nie przeciwdziałał: był to idealista, marzyciel, oddany ulubionym celom i myślom, im poświęcający

wszystko i po za nimi nie wiele widzący; niesnaski i spory wyznaniowe, śmiemy przypuszczać, zbyt dalece go nie obchodziły.—Poeemat o Gorajskich, dedykacye w większej części pism Klonowicza, pokazują go, jako człowieka, który nie brzydzi się pańską jałmużną zresztą,—objaw to w wieku XVI najpospolitszy; uderzałoby właśnie to, gdyby tak nie było. W życiu prywatnym był bezwątpienia człowiekiem zółciowym, łatwo unoszącym się (oprócz tego, że teściową pobił, miał jeszcze jakąś awanturę z Imci panem Wylagowiczem, gdzie także coś podobnego zaszło). Zresztą, nieszczęścia swoje przesadzał, ustawicznie na nie utyskiwał, na świat i życie zbyt czarno patrzył: oto są wszystko rysy, które można w biografii jego i w pismach znaleźć dla wyrobienia sobie pojęcia o jego charakterze i usposobieniu. Najprawdopodobniej była to dusza zwyczajna, niczem od tłumu pospolitego się nie wyróżniająca; umysł, chociaż uczony, nie wyższy bynajmniej od innych poglądami etycznymi i społecznymi! Jako człowiek więc, Klonowicz na szczególną uwagę nie zasługiwałby, gdyby nie jego pisma pierwszej epoki, w których się przejawia dość oryginalna jego indywidualność artystyczna, i którym jeszcze trzeba kilka słów poświęcić.

Jest rzeczą niezaprzeczoną, że cywilizacya i oświata stała w Polsce za czasów Klonowicza na bardzo wysokim, bodaj czy nie na jednym z najwyższych stopni, jakie osiągnęło społeczeństwo nasze przez cały ciąg swego istnienia. Jednak nie była to cywilizacya samostna i samorodna,—nie oddzielaliśmy się wtedy tak, jak później chińskim murem od reszty cywilizowanej Europy, owszém, z tego co wiedzieliśmy i umieliśmy, prawie wszystko zawdzięczaliśmy Włochom i Francyi. Ci, którzy tę zagórską mądrość odbierali z pierwszej ręki, którzy się tam uczyli i ztamtąd do nas wracali, zajmowali łatwo i szybko wszystkie prawie wyższe stanowiska, czy to w hierarchii kościelnej, czy w urzędach publicznych lub dworskich i w ten sposób rozszerzali w około siebie światło za granicą zdobyte. To téż ci, którzy za granicę nie jeździli,—połowiczne tylko, częściowe odebrali wykształcenie;—bo w kraju, — w Akademii, — można było nabyć wiedzę, można było się nauczyć łaciny i greki, filozofii i poetyki, —ale téj ogłady, téj wytwornéj dworskości, tego delikatnego poczucia artystycznego, tego było znaleźć trudno, chyba można go było zacerpnąć na dworach króla i możnych panów, którzy, jak mówiliśmy, sami we Włoszech, Francyi i Niemczech bywali.

Dwaj są wybitniejsi owéj epoki pisarze, z których każdy pochłubić się może, „że z granicy miłej Polski mili, nie ujechał“ mianowicie Rej i Klonowicz, jeden z nich zjawia się na początku tego okresu w naszej literaturze, Klonowicz na samym jego końcu. Rej obracający się po dworach pańskich, sztuczném otarciem się i „p r z e g r y z o w a n i e m“ zastępował systematyczną naukę, której mu było brak,

aktora posiadał Klonowicz. Obaj oni mają tę szorstkość i grubość, te ślady wychowania na miejscu, wśród swoich; tylko, że Rej bez wielkich pretensyi i bez wielkich planów, pisał dla własnej zabawy i przyjemności i nie widział nawet pewnie tych różnic głębokich, jakie były między nim a owianymi zachodnim prądem humanistami; Klonowicz zaś, jak się zdaje, pojął i zrozumiał je dokładnie. Chciał z nimi podjąć walkę; Roxolania, to występ pierwszy, to pokazanie, że gdyby chciał, mógłby im wytwornością stylu łacińskiego dorównać, ale wlewa w nią ducha polskiego, pokazuje im ścieżki, jakimi dążyć powinni, porzuciwszy bity gościniec klasycznej poezyi. „Flis“ ma być już ostatniem słowem tego kierunku, ma być arcydziełem nowej rodzinno-polskiej poezyi, po którego wydaniu poeta umilkł i spoczął na laurach. Czy tak jest rzeczywiście, osądziliśmy wyżej. W każdym razie są to dzieła wagi wielkiej, znaczenia w literaturze niepospolitego, pomimo, że nie osiągnęły zamierzonego celu, że nie stworzyły nowej poezyi, że się Klonowiczowi nie udały. A nie udały się dla powodów kilku. Najprzód dlatego, że wychowanie, jakie ich autor odebrał, nie mogło przejść bez poważnych śladów na tak wrażliwym, jak Klonowicza, umyśle, nie mogło nie nadać kierunku jego imaginacyi, kierunku, od którego się ona później wazwolić nie zdołała. Wyrozumowanie tylko ciągnie go do rzeczy swojskich, pióro zaś wabi go do opowiadania, mitów i figur klasycznych. Nie pomaga nawet to, że Klonowicz stara się tym mitom i figurom nadać barwy polskie, powstaje tylko z tego mieszanina niesmaczna, która zamiast do naśladowania pociągać,—odstręcza. Ztąd to Jezus i Febus na jednym wozie jeżdżą, stąd Fedora Kupidynów i Amorów zwywa do uleczenia jej miłosnych cierpień. To byłaby przyczyna jedna, najważniejsza.—A zaszkodziła ona tém więcej, że zadanie było niezmiernie trudne: torować nowe drogi, wskazywać nowe kierunki, i to torować i wskazywać z samowiedzą, bezwarunkowo przechodziło siły talentu Klonowicza. Gdyby był miał przed sobą jakikolwiek wzór do naśladowania, byłby się może ustrzegł od wpadnięcia w jakiś rodzaj stylu „rococo“, w ten wykrzywiony i wydziwaczony klasycyzm, jaki z pozorów wieje z pism jego. Ale tych wzorów nie było. Te dwie pierwsze przyczyny leżały zewnątrz Klonowicza, chociażby jego warunki indywidualne były po temu, nie przepałyby jeszcze przeszkód, jakie mu one stawiały. Ale nawet tak nie było; wady organiczne umysłu poety podwajały trudności. To, że po polsku dobrze pisać nie umiał, że wierszem polskim dobrze nie władał,—to dałoby się zresztą położyć na karb klasycznego wychowania; ale to, że nie znał z jego pismach starania o wydoskonalenie stylu i wiersza, że przeciwnie widać zaniedbanie, korzystanie z wrodzonej łatwości rymowania i lekceważenia formy zewnętrznej, temu zapewne Akademia nie jest już winna; ani temu także chyba

że wyobraźnia poety nie była w stanie się zdobyć na nic innego, jak na niewolnicze kopiowanie tego, co widział, i podawanie tego „in crudo” bez uporządkowania i uzupełnienia; ani temu wreszcie, że myśl poety nigdy nie jest w stanie utrzymać się przy jednym przedmiocie, że musi zbaczać, odrywać się do rzeczy najmniej z treścią związanych. Nieuleczone zaniedbanie, brak twórczej wyobraźni, i niemożność logicznego myślenia, — przy skierowaniu we wprost przeciwną stronę wychowaniu i przy zupełnym braku wzorów do naśladowania w kierunku nowym; — rzecz prosta, że nie były w stanie wydać żadnego dzieła pomnikowego, nie były w stanie dokonać tego, co sobie zamierzył poeta. Myśl jego jednak, po dwóch wiekach w czyn wprowadzona, zasługuje na to, żeby Klonowiczowi wieczną zostawić pamiątkę na kartach literatury polskiej i żeby te dzieła jego — jeżeli już nie czytane — to przynajmniej z szanowaniem wspomniane zawsze były.

Kraków w lutym 1889 r.





F

7034









F.  
7034